

A man's back is shown from the waist up, facing left. He has a tattoo on his left shoulder that reads "IGNORANCE". A large splash of water is falling over his back, creating a misty, blue-tinted effect. The background is dark.

IN HER WAKE

*A TEN TINY BREATHS
NOVELLA*

K.A. TUCKER
USA TODAY BESTSELLING AUTHOR

K.A. TUCKER

„IN HER WAKE”

Tom 0,5 serii „Ten Tiny Breaths”

Tłumaczenie: marika1311

Wszystkie tłumaczenia w całości należą do autorów książek jako ich prawa autorskie, tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym służącym do promocji twórczości danego autora. Ponadto wszystkie tłumaczenia nie służą uzyskiwaniu korzyści materialnych, a co za tym idzie każda osoba, wykorzystująca treść tłumaczenia w celu innym niż marketingowym, łamie prawo.

Zanim poznaliście go jako Trenta w "Dziesięciu Płytkich Oddechach", był Colem Reynoldsem - i miał wszystko. Aż do jednej nocy, kiedy podejmuje jedną złą, fatalną decyzję... i to traci.

Kiedy pijacka noc na imprezie studenckiej poza stanem Michigan kończy się śmiercią sześciu osób, Cole musi się pogodzić ze swoim udziałem w tej tragedii. Normalnie miałby oparcie w swoich przyjaciółach - tych, którzy byli w jego życiu od chwili, gdy ledwo umiał chodzić. Tyle że oni odeszli. Gorzej - gdzieś w szpitalu na łóżku leży roztrzaskane ciało szesnastolatki, ma jej całe życie zostało zniszczone przez piwo i zestaw kluczy.

Wszyscy go zapewniają, że wiedzą, iż to nie było celowe, ale i tak nie może ignorować ciężaru ich spojrzeń i szeptów za plecami. Nie może też pozbyć się wszechogarniającego poczucia winy za każdym razem, kiedy myśli o dziewczynie, która nawet nie pozwoli mu się zbliżyć do swojego szpitalnego pokoju, by mógł przeprosić. Kiedy mijają miesiące, a wstyd i poczucie winy się pogłębia, Cole zaczyna tracić kontrolę nad wszystkim, co kiedyś było ważne - studia, dziewczyna, przyszłość. Jego życie. Dopiero kiedy Cole idzie na samo dno, zaczyna widzieć inne wyjście z jego osobistego piekła: wybaczenie.

I jest tylko jedna osoba, która może mu to dać...

Dla Lii i Sandie,

Niech to nigdy nie stanie się waszą historią.

Zniszczyłem jej życie, A potem ruszyłem jej śLADEM.

I teRAZ zDAJę sobie SPRAWę, że to dokłADNIE tutaj powinienem być.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

26 kwietnia 2008r.

– Ostatni i spadamy.

– Chyba sobie jaja robisz. – Głęboki głos Dereka niesie się ponad stały rytm głośniejszej muzyki. Podaje pustą butelkę po piwie koleśowi, który nas mijają i zamiast niej bierze dwie pełne, po czym jedną z nich rzuca mi. – Jest, która – zerka na zegarek – dopiero *dwunasta*. A jechaliśmy tutaj godzinę!

Przekręcając kapsel, biorę duży łyk, a świeży, zimny płyn jest jak lodowata ulga w upalny dzień. Nawet jeśli jest kwiecień w Michigan, a na zewnątrz ledwie widać szron, to w środku panuje duchota.

– Ostrzegałem, że nie chcę siedzieć długo. Jutro rano siadam do książek, bo inaczej jestem w czarnej dupie. – Cztery egzaminy w trzy dni. Tak czy siak w niej jestem. To prawdopodobnie dlatego tak szybko znikają dziś piwa. Zdecydowanie jestem bardziej zrelaksowany niż wtedy, gdy przyjechaliśmy.

– Do jutra rana na pewno będziesz w domu. A tymczasem... – Rozgląda się po salonie swojego kuzyna, wypchanym po brzegi studentami i lokalnymi dzieciakami, skupiając spojrzenie na dwóch blondynek, które wyglądają tak, jakby nadal mogły chodzić do liceum.

– Jeśli niedługo nie wyjedziemy, to będę wrakiem człowieka i dobrze o tym wiesz. – To, że Derek marudzi, żeby zostać, nie jest żadną

niespodzianką. Nigdy nie omijał żadnych imprez. Zazwyczaj musimy odrywać go od beczki z piwem. Ale zgodziłem się tylko na obejrzenie hokeja – w końcu to decydujący mecz Red Wingsów – i jakoś to zamieniło się w *to*. Gdyby to nie był mój ostatni piątkowy wieczór w Michigan, nie zgodziłbym się na to. – A ty przypadkiem też nie masz egzaminów, o które powinieneś się martwić?

Derek wzrusza ramionami, biorąc kolejny długi łyk piwa, a potem spogląda na brunetkę wetkniętą w ograniczoną przestrzeń na kanapie obok mnie. Michelle, tak chyba miała na imię. Jest ładna i słodka, a jej udo musnęło „przypadkowo” moją nogę wystarczającą ilość razy, żebym wiedział, że jest mną zainteresowana. Ale nawet jeśli minęło sześć tygodni od czasu, kiedy Madison mnie odwiedzała i umieram z pragnienia, by zaliczyć, to nie zamierzam zdradzić swojej dziewczyny. A już zwłaszcza dla przygody na jedną noc.

Ignoruję głupawy uśmieszek Dereka.

– Gdzie Sasha?

Kiwa głową na lewo. Podążam tam wzrokiem, gdzie nasz przyjaciel stoi razem z krzepkim facetem ubranym w niebieską koszulkę z Rosomakami¹, a ich usta poruszają się szybko i gwałtownie. Jeśli miałbym zgadywać, ich mała „pogawędka” ma coś wspólnego z naszą rozgrywką sprzed trzech miesięcy z inną drużyną z Michigan – którą wygraliśmy – i zaraz robi się gorąco. Nie pomaga, że Sasha ubrał swoją koszulkę z napisem „Spartanie² z dumy puchną, Rosomaki cuchną”³, wiedząc, że jedziemy na ich terytorium.

¹ Michigan Wolverines – drużyna futbolu amerykańskiego; ang. *wolverine* – rosomak.

² Michigan State Spartans

³ Ang. *Spartans rule, Wolverines drool*. Dosłownie: „Spartanie rządzą, Rosomaki się ślinią”, ale chciałam zachować rym. ;)

- Świetnie - mamroczę, podciągając się z wysiłkiem z kanapy. Pokój się kołysze i lekko się potykam, moja stopa uderza w schludną linię poustawianych pustych kubków na podłodze.

Wypiłem o wiele więcej niż planowałem w ciągu ostatnich czterech godzin.

Szlag.

Jestem dziś kierowcą.

Więc chyba to oznacza, że utknęliśmy tutaj jeszcze na jakiś czas. I to, że prawdopodobnie właśnie przejechałem swoje egzaminy.

Podchodząc do Sashy, kładę mu rękę na ramieniu, mocno go ściskając na wypadek, gdybym musiał go odciągać. Sasha nie jest żadnym chucherkiem, jest trochę ode mnie niższy i, dzięki intensywnemu harmonogramowi treningów, tak samo mocno zbudowany. Sam sobie da radę. Powinienem to wiedzieć; walczyliśmy ze sobą na niby, od kiedy byliśmy w pieluchach.

- Wszystko gra? - Patrzę na koleśka przed nim, Latynosem z oliwkową cerą i jedną brwią oraz zastraszającą miną. Nie rozpoznaję jego twarzy z boiska. No ale wszyscy mamy kaski i tracę czasu na nic poza tym, który numer muszę powalić.

Sasha przesuwa dłonią po jego potarganych, brązowych włosach - o prawie identycznym odcieniu co moje - ale mi nie odpowiada, a wzrok wbija w tamtego faceta. Już go wcześniej takiego widywałem. To prawie zawsze kończy się bójką.

- Sash? W przyszłym tygodniu zaczynają się egzaminy - przypominam mu. Będą wystarczająco ciężkie bez podbitego oka i

rozwalonej wargi. Poza tym ja nie mogę się wdawać w żadne bójki z moim leczącym się ramieniem.

– Taa – Sasha przeciąga to słowo, po czym się uśmiecha pod nosem. – Wszystko gra. Po prostu dzielimy się przydatnymi wskazówkami. No wiesz, podstawy. Na przykład to, jak rzucać pieprzoną piłkę odbiorcy.

Staję między nimi, żeby być między nimi barierą, w chwili, gdy ten drugi pochyla się w naszą stronę.

Na szczęście kuzyn Dereka, Rich – który sam jest wielkim facetem – wychodzi wtedy z kuchni.

– Przenieście się z tym na zewnątrz. Nie chcę syfu w domu.

Sasha unosi ręce w powietrze, w geście poddania.

– Nie ma potrzeby. Nic się nie dzieje.

Uderza przyjaźnie w rękę Richa i prowadzi mnie z dala od nich. Ale wcześniej spogląda ponad ramieniem i puszcza oczko Jednej-Brwi.

Kręcę głową, ale śmieję się pod nosem.

– Jesteś chujem. Wiesz o tym? – Kiedy mieszkasz obok kogoś przez osiemnaście lat, dzielicie ze sobą hokejowe krążki, krwawiące nosy i sekrety na temat zaliczania baz z dziewczynami, możesz to komuś powiedzieć bez konsekwencji.

Sasha jest bratem, którego nigdy nie miałem.

Wielki uśmiech nie znika z jego twarzy.

– Wiem. I prawdopodobnie musimy stąd teraz spierdalać, bo właśnie temu dupkowi nawrzucałem. Zacznie mnie niedługo szukać, nie mam wątpliwości. Gdybym był nim, sam bym sobie przywalił.

- Sorry, stary. Na trochę tutaj utknęliśmy. Straciłem rachubę w swoich piwach. - Do dupy. A naprawdę chcę już jechać do domu. Może Rich zna tutaj jakąś trzeźwą dziewczynę, która mogłaby pogadać z Sashą. Może...

- Ja poprowadzę - oferuje Sasha.

- Poważnie? Dasz radę? - To wszystko by ułatwiło.

- Tak. Przez ostatnią godzinę piłem wodę. Ja też mam egzaminy.

Wzdycham z ulgą.

- Chodź. - Kiwa głową w kierunku frontowych drzwi i wyciąga rękę w moją stronę. - Jedziemy.

- No dobra. - Wyciągam z kieszeni jeansów kluczyki do mojego auta. Właściwie to SUV mojego taty. Zamieniliśmy się samochodami podczas wiosennej przerwy, żebym mógł zabrać większość rzeczy, kiedy na wakacje pojedę do domu.

Rzucam je do Sashy.

Musi się rzucić, żeby je złapać i bierze kilka szybkich kroków, żeby odzyskać równowagę, po czym staje prosto.

- Już zapomniałeś, jak się rzuca? - mamrocze z głupim uśmiechem.

- Zostań na letnie zajęcia! - Sasha wrzuca czwarty bieg, a cicha, ciemna droga rozciąga się przed nami w kierunku Lansing⁴ i naszego mieszkania blisko kampusu Stanowego Uniwersytetu Michigan. Nadal jest

⁴ Miasto w Michigan, stolica tego stanu

wkurzony, że wracam do Rochester⁵ do lipca. Kiedy mu o tym powiedziałem, nie odzywał się do mnie przez całe dwa pieprzone dni.

Nie mieliśmy za bardzo wyboru, tylko zostać w Lansing, ze względu na letni harmonogram treningów. Ale wtedy zerwałem pas rotacyjny barku⁶ w ostatniej rozgrywce i musiałem mieć operację podczas wiosennej przerwy, żeby to naprawić, więc wypadam z gry na jakiś czas. Może na dobre.

W tajemnicy cieszę się, że będę w domu przez jakiś czas. Jestem nawet szczęśliwszy, że nie będę popychał sani obciążeniowych w górę wzgórze i biegał sprintem codziennie o szóstej rano. I choć jestem dobry – bo jestem, inaczej nigdy nie byłbym w takiej drużynie jak Spartanie – nigdy nie wykraczałem swoimi ambicjami poza studia.

Ale mimo to Sasha i ja nigdy nie rozstaliśmy się na dłużej niż tydzień.

– Nieee... Madison by mnie *zabiła*, gdybym teraz zmienił zdanie. – Pozwalam swojej głowie opaść na zagłówek fotela, bo mi się w niej kręci, i zamykam oczy. Mógłbym tutaj zasnąć. Może jednak choć trochę się dziś wyśpię.

– Mogłaby cię odwiedzić – mamrocze Sasha.

Derek parska głośnym śmiechem na tylnym siedzeniu.

– Poważnie chciałbyś słuchać, jak Cole obraca twoją młodszą siostrę w pokoju obok?

– Zamknij ryj, Maynard. – Otwieram lekko oko, żeby zobaczyć, jak kłyckie Sashy stają się białe, gdy zaciska dłonie na kierownicy. Zajęło mu większą część roku, żeby zaakceptować to, że spotykam się z Madison.

⁵ Miasto w stanie Nowy Jork

⁶ Obejmuje głównie mięśnie, które są odpowiedzialne za ruchy obrotowe w stawie barkowym.

Cztery lata później nadal się spina na każdą rozmowę, w której jest wzmianka o tym, że jego siostra uprawia seks.

– To tylko kilka miesięcy, stary. Wróć do mieszkania, zanim się obejrzysz – mówię, starając się załagodzić gniew Sashy.

– Cóż, ja na pewno jestem szczęśliwszy niż świnia w błocie, że cię nie będzie – ogłasza wszem i wobec Derek. Kiedy im o tym powiedziałem, Derek od razu skorzystał z szansy, żeby zająć mój pokój. Mieszka ze swoimi rodzicami w małym domu tuż za Lansing i chociaż jego rodzice są mili, to nie dziwię się, że chce trochę przestrzeni.

Znam Dereka prawie tak długo, jak Saszę. Rodzina Dereka mieszkała z jego dziadkami przez kilka lat, trzy domy dalej od moich rodziców, kiedy jego ojciec starał się znaleźć pracy w przemyśle informatycznym. Najwyraźniej moja mama poszła ich przywitać – z szarlotką w dłoniach i mną przyklejonym do jej nogi – a Derek otworzył nam w różowej sukience w kropki. Którą ubrał sam. Nie pamiętam tego, ale ja i Sasha nabijaliśmy się z tego przez kilka dobrych lat. Właściwie jestem trochę zaskoczony, że utrzymywał z nami kontakt po tym, jak przeprowadzili się do Lansing.

Śmieję się pod nosem.

– Proszę bardzo. Tylko zostaw tam porządek.

– Jesteś pewny, że chcesz się na to zgodzić, Cole? – parska śmiechem Sasha. – Widziałeś, kogo on wybiera.

– Hej... – Ostrzegawczy ton Dereka tylko jeszcze bardziej zachęca Saszę.

– Jak ostatnia się nazywała? Tia? Ria?

– Sia.

– Sia – powtarza Sasha. – Ta laska była...

Cześć, mam na imię Tara. Jestem ratownikiem medycznym. Słyszysz mnie? Miałaś wypadek. Pomożemy ci.

Cześć, mam na imię Tara. Jestem ratownikiem medycznym. Słyszysz mnie? Miałaś wypadek. Pomożemy ci.

– Cześć, mam na imię Tara. Jestem...

– Co? – To jedno słowo sprawia, że czuję potworny ból gardła. Otwieram oczy i nade mną wisi ciemne niebo, a kątem oka widzę migające czerwone i niebieskie światła. Ryczące syreny piszczą w moich uszach, te blisko i te dopiero się zbliżające.

Tak wiele syren.

Pochyliła się nade mną kobieta. Spogląda mi w oczy i mówi spokojnym tonem:

– Cześć, jestem Tara. Jestem ratownikiem medycznym. Miałaś wypadek. Wszystko będzie dobrze. Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Walczę z tym, żeby przetworzyć jej słowa.

– Cole. – Przełknięcie śliny sprawia mi ból.

Ktoś inny klęczy obok mnie. Próbuję obrócić głowę, żeby spojrzeć, kto to jest, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Ale nie mogę jej obrócić.

– Nie ruszaj się, Cole – mówi Tara, kiedy coś zaciska się przy moim podbródku. Dopiero wtedy zauważam coś sztywnego owiniętego dookoła mojej szyi.

– Co się stało?

- Miałeś wypadek, ale o nic się nie martw. Za chwilę zabierzemy cię do szpitala, już niedługo. - Przecinający noc pisk syren za mną nagle się urywa i słyszę piszczenie opon.

- Jak bardzo źle jest? - Poza bólem w szyi, nie czuję za bardzo nic innego.

- Musimy tylko skończyć zabezpieczać twoją szyję, jako środek zapobiegawczy - wyjaśnia, nie odpowiadając na moje pytanie, a inna osoba jednocześnie zacieśnia pasek na moim czole.

Samochód.

Byłem w samochodzie.

Z kim byłem w...

Sasha.

Derek.

- Gdzie oni są? - Rozglądam się gorączkowo, najpierw w lewo, później w prawo, ale niczego nie widzę. - Gdzie są moi przyjaciele?

- Wszystkimi się zajęliśmy, Cole. Wiesz, jaki mamy miesiąc?

Mam egzaminy w przyszłym tygodniu. Tak. Muszę wrócić na egzaminy.

- Kwiecień.

- Dobrze. Kto jest naszym prezydentem, Cole?

- Bush.

- I ile masz lat, Cole?

Ciągle używa mojego imienia. Po co to robi?

- Dwadzieścia. Dwadzieścia jeden w grudniu.

Inny ratownik kończy manipulować z paskami przy mojej twarzy. Ręce, które trzymały moją głowę w miejscu, a z czego nie zdawałem sobie sprawy, teraz znikają, a Tara oferuje mi smutny uśmiech.

– Pamiętasz, gdzie dzisiaj byłeś?

– Na imprezie. W domu Richa. – Milknę na chwilę. – Gdzie Derek? I Sasha?

– Jest tutaj kilku ratowników. Wszystkimi się zajęto – mówi, po czym woła do kogoś, kogo nie widzę: – Możemy go stąd zabrać?

Ktoś odpowiada „tak” i nagle jestem w powietrzu. Niskie głosy i mocne światła otaczają mnie ze wszystkich stron. Rozglądam się – oczy to jedyna część mojej głowy, którą mogę ruszać poza ustami – żeby coś dojrzeć. Cokolwiek. Ale paski całkowicie trzymają mnie w miejscu.

– Moich przyjaciół zawiozą do tego samego szpitala, nie?

– Dostaną najlepszą, możliwą opiekę – mówi Tara, wchodząc do karetki. I znowu tak naprawdę nie odpowiada na moje pytanie.

Tuż zanim drzwi ambulansu się zamykają, słychać głos w policyjnym radiu.

Wyłapuję tylko skrót „D.O.A.”⁷, zanim słyszę trzask i ruszamy.

⁷ Ang. *dead on arrival* – oznacza, że osoba jest martwa już w trakcie przybycia do szpitala.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brązowe plamy na płytkach na suficie.

To pierwsza rzecz, jaką widzę.

Twarz mojej matki, z rękami złożonymi i przyciśniętymi do ust tak, jakby się modliła, jest drugą.

– Cole, kochanie? – Jej szaroniebieskie oczy otwierają się nieco szerzej, gdy siada prościej na krześle, a jej blond włosy luźno zwisają dookoła jej twarzy. Przez lata nie widziałem, żeby miała publicznie tak zwyczajną fryzurę.

Mrugam, żeby pozbyć się zamazanego obrazu, jednocześnie rozglądając się po swoim otoczeniu. Białe ściany i jasnoniebieskie zasłony. Zwyczajna, biała flanelowa pościel w cienkie, niebieskie paski. Maszyny... jestem w sali szpitalnej, tyle jest oczywiste. Po prostu nie pamiętam, jak się tu dostałem.

Wiem tyle, że jestem przeładowany bólem. Czy ktoś kopnął mnie w klatkę piersiową? Każdy oddech, który biorę, sprawia, że mam ochotę go wstrzymać. Delikatny ruch głową posyła fale agonii przez mój cały prawy bok. To pewnie ma coś wspólnego z temblakiem, który przytrzymuje w miejscu moje ramię.

– Carter, obudził się! – woła moja mama, kiedy chłodna dłoń dotyka mojej.

Na szpitalnej podłodze skrzypią buty i zza zasłony wychodzi mój tata, stając obok niej, w swojej starej bluzie ze Stanford i kubkiem parującej kawy w ręce.

Purpurowe worki pod ich oczami mówią mi, że nie spali przez jakiś czas.

– Co się stało? – Moje gardło jest zbyt suche, bym mógł normalnie mówić. Zaczynam kaszleć i automatycznie krzywię się z bólu w ramieniu. Nawet krzywienie się boli.

– Masz, Cole. Musisz napić się wody. – Mama unosi kubek do moich ust. – Tylko na razie małe łyki.

Mój tata nie traci czasu i naciska czerwony przycisk na barierce przy łóżku.

– Lekarze dadzą ci coś na ból.

Biorąc kilka płytkich oddechów, znowu próbuję.

– Co się stało?

Zerkają na siebie, a jabłko na szyi mojego taty podskakuje, kiedy ten ciężko przełyka ślinę.

– Miałeś wypadek samochodowy.

– Racja. – Teraz sobie przypominam ratowniczkę. Ciągle mi to powtarzała. *Miałeś wypadek. Pomożemy ci.* Małe urywki zaczynają się układać jak puzzle. Impreza, jazda do domu...

– Wszystko będzie dobrze, Cole. – Mama ściska moją dłoń. – Masz trochę siniaków i kilka złamanych żeber. Ale będzie dobrze. Kilka dni tutaj i będziemy mogli zabrać cię do domu. – Powtarza szeptem: – Będzie dobrze. – Nie wiem, czy zapewnia mnie czy kogoś innego, zwłaszcza, kiedy w jej oczach wzbierają się łzy.

Zaciskam zęby na ból, który czuję, kiedy przechylam głowę na lewo. Widzę puste łóżko.

– Gdzie Sasha? Powinni go położyć obok. – Miałem jedenaście lat, kiedy ostatni raz byłem w szpitalu. Sasha i ja postanowiliśmy ścigać się na naszych rowerach przez sąsiednie pole pełne dziur i występów. Skończyliśmy razem w jednej sali, oboje w gipsie. Nigdy nic nie robiliśmy osobno, naprawdę.

Pielęgniarka w kolorowym fartuchu wchodzi przez próg i okrąża łóżko.

– Jak się ma nasz pacjent? – pyta, skupiając się na kroplówce stojącej obok mnie, sprawdzając niezliczoną ilość woreczków, podłączając i odłączając rurki.

– Bardzo cierpi – odpowiada za mnie mama, kiedy pojawia się niski, łysy mężczyzna ze stetoskopem dookoła szyi. Ściąga kartę pacjenta przywieszoną w nogach łóżka. – Cześć. Jestem doktor Stoult. A ty jesteś Cole Reynolds... dwadzieścia lat... kolizja samochodowa. – Wertuje kartki, żeby sprawdzić raporty i się ze mną zaznajomić. – Jak się czujesz, Cole?

– Do dupy.

Normalnie mama by mnie zganiła. A teraz trzyma mnie za rękę tak, jakby bała się ją puścić.

– Nie bez powodu. Poduszki powietrzne złamały twoje trzy żebra i spowodowała dość poważne sińce po lewej stronie twojego torsu i twarzy. Twój obojczyk jest złamany... – Spogląda na mnie, żeby wyjaśnić – obojczyk.⁸ – zanim wraca wzrokiem do karty. – Doznałeś też mocnego

⁸ Za pierwszym razem lekarz używa słowa *clavicle*, które jest o wiele mniej popularne od zwykłego *collarbone*.

wstrząśnienia mózgu. Prawdopodobnie od uderzenia głową o drzwi od strony pasażera.

– To dlatego tak bardzo boli mnie głowa? – Z tym wszystkim, co się dzieje, dopiero teraz zauważam tępy ból z tyłu mojej czaszki.

– Raczej tak. Miałeś też dużo alkoholu we krwi, więc w jakimś stopniu może się przyczyniać do tego także odwodnienie. Upewnimy się, żebyś otrzymywał dużo płynów. – Odwiesza kartę na łóżko i wyciąga małą latarkę. Mama musi puścić moją rękę i wystąpić za zasłonę. – Uszkodzenia obojczyka mogą leczyć się góra do dwunastu tygodni. Zalecałbym, żebyś nosił temblak tak długo, jak tylko się da. – Przykłada stetoskop do mojej piersi.

– Gdzie są moi dwaj znajomi, którzy jechali ze mną?

– Spróbuj wziąć głęboki oddech – rozkazuje lekarz.

Robię to i jęczę z bólu. Ten kiwa głową do pielęgniarki, a sam poprawia moje bandaże. Ona szybko robi coś z moją kroplówką.

– Nie za bardzo możemy coś dla ciebie zrobić poza tym, by było ci wygodnie. Zwiększymy twoją dawkę i damy ci leki uspokajające, żeby pomogły ci zasnąć.

– Możecie mi powiedzieć, gdzie są moi przyjaciele.

– Zobaczę, czego mogę się dowiedzieć. – Przesuwa zasłonę i wychodzi z pomieszczenia zanim mogę powiedzieć „dzięki, doktoru”.

Mama szybko wraca do swojego krzesła, znowu ściskając moją dłoń, a drugą ręką odgarniając włosy z mojego czoła.

– Jak długo potrwa, zanim leki podziałają? – pyta pielęgniarkę.

- Bardzo krótko. - Pielęgniarka uśmiecha się do mnie z zaciśniętymi wargami, po czym szybko wychodzi z sali, w tej samej chwili moje ciało zaczyna zapadać się w materac po tym, jak leki rozpoczynają swoją magię.

- Tato? Możesz się dowiedzieć, gdzie jest Sasha? - Ciężko mi wypowiadać słowa, język mi się plącze. - Tamten lekarz pewnie od razu zapomniał.

Odpowiedzią na moje pytanie jest cisza.

Walczę z moimi ciężkimi, opadającymi powiekami, kiedy przyglądam się ich dwóm twarzom pogrążonym w żalu. Łzy płyną po twarzy mamy. Tata zwiesza głowę, jego oczy również lśnią.

Bez jakiegokolwiek słowa od nich, słyszę ich odpowiedź.

Wyrywa mi się szloch, nawet kiedy czuję, że odpływam w nicość.

Ale nie przed tym, gdy zdaję sobie sprawę, że życie, jakie znałem, właśnie się skończyło.

ROZDZIAŁ TRZECI

Miażdżący ból w piersi ma teraz niewiele wspólnego z moimi urazami.

I to mnie dusi.

Zegar wiszący na ścianie naprzeciw mnie mówi mi, że jest pięć po trzeciej, kiedy odzyskuję przytomność. Obserwowałem, jak druga wskazówka robi okrążenie za okrążeniem przez prawie dwadzieścia minut.

Bez powiedzenia ani jednego słowa.

Moi najlepsi przyjaciele nie żyją od prawie trzydziestu sześciu godzin.

W którymś momencie, kiedy spałem, mama zmieniła swój biały sweter na zielony i dodała załzawione policzki do ciemnych cieni pod oczami.

– Cole. Proszę, powiedz coś – błaga mnie. Nigdy nie była osobą, która za długo by milczała, wołała „to przegadać”. Byłem pod tym względem do niej podobny, co prawdopodobnie sprawia, że moja cisza jest jeszcze bardziej niepokojąca. Mój tata, z drugiej strony, wydaje się być zadowolony z siedzenia na pustym szpitalnym łóżku za nią, z rękami skrzyżowanymi na piersi i ze ściągniętą twarzą. Milcząca.

– Co się stało?

Mama odchrząka kilka razy.

– Wyrzuciło ich z samochodu. – Milknie na chwilę. – Nie rozumiem, dlaczego nie mieli zapiętych pasów. Uczyliśmy was tego! Po prostu nie... –

urywa, kiedy tata pochyla się i łapie ją za ramię. Ściąga usta, jakby usiłowała się zebrać, po czym kontynuuje. – Z tego, co na razie słyszeliśmy, zmarli natychmiast. Przynajmniej to... to coś. – Zakrywa buzię, gdy wyrywa jej się szloch.

Wielka gula formuje się w moim gardle.

– Madison?

Mama kiwa głową.

– Przyszła wcześniej i jeszcze dziś wróci, później. Są w mieszkaniu, pakują rzeczy Sashy i załatwiają sprawy.

– Jak z nią?

– Jest silna. Cyril powiedział, wstrzymają się z pogrzebem do niedzieli. Doktor Stoult myśli, że do tego czasu cię wypuszczą – wyjaśnia mój tata i dodaje: – Derek będzie pochowany w środę.

Pogrzeby Sashy i Dereka.

To nie może być prawda.

– Oficjalny policyjny raport będzie niedługo wypełniony, ale z tego, co zebrali, alkohol mógł być prz...

– Nie! – przerywam mu, zaciskając zęby na ból, który czuję, gdy potrząsam głową. – *Ja* byłem pijany. To dlatego Sasha prowadził. – Sasha nie piłby i nie wsiadł potem za kółko. Jest dobrym kolesiem.

Był dobrym kolesiem.

– Więc to Sasha jechał. Nie byli w stu procentach pewni, czy to był on, czy Derek. – Tata zaciska usta. – Ale i tak autopsja potwierdzi, ile alkoholu było w jego krwi.

Zamykam oczy, cofając się myślami do ostatniego piątku. Sasha mógł prowadzić... prawda? *Powiedział*, że mógł, że pił wodę. Ale teraz, kiedy o tym myślę, to przez większość wieczoru prawdopodobnie miał w ręce piwo. Mógł je powoli sączyć.

Ale z drugiej strony nigdy nie widziałem, żeby Sasha kiedykolwiek sączył piwo.

Kurwa. Co ja sobie myślałem?

Po kolejnej długiej, nieprzyjemnej ciszy, w końcu ośmielam się zapytać:

– Więc w co uderzyliśmy, w drzewo?

Twarz mamy bladnie. Mam swoją odpowiedź.

Nie sądziłem, że mógłbym cokolwiek poczuć przez to odrętwienie.

– Mówią, że zderzyliście się z Audi z sąsiedniego pasa. – Tata wbija wzrok w podłogę obok mojego łóżka, ale widzę, że myślami jest kilometry stąd. – Nie było żadnych śladów poślizgu na drodze.

Jezu. Wjechaliśmy w inny samochód tym gigantycznym potworem?

– Co stało się z innym kierowcą?

Świeże łzy zaczynają spływać po policzkach mamy, a to nieustające obciążenie na mojej klatce piersiowej tylko rośnie w siłę.

– Policja jeszcze za dużo nie mówi. Wiem tylko tyle, że w środku było pięciu pasażerów. Dwóch dorosłych i trzech nastolatków – mówi powoli tata. – Zabrali szesnastoletnią dziewczynę do Sparrow⁹. Potrzebowała najlepszego ośrodka fizjoterapeutycznego.

Żołądek mi opada.

⁹ *Sparrow Hospital* – szpital w Lansing

- Przeżyła?

- Nie wiem.

- A reszta?

Ciemnoniebieskie oczy – te same, które odziedziczyłem – podnoszą się, by na chwilę spotkać się z moimi. Tak wiele emocji w nich teraz krąży – żal, litość, strach. Raz kręci głową, przecząco.

Pięć osób... jedna przeżyła... co oznacza...

Że w tej chwili nie żyje sześć osób.

Wszystko dlatego, że nie dotrzymałem swojej części umowy.

Zamykam oczy, gdy czuję falę emocji.

Coś jedwabnego łaskocze mnie w palce. Nie muszę spoglądać, żeby rozpoznać dotyk włosów Madison.

Nocne niebo rozciąga się za żaluzjami. Jest wpół do dziesiątej, według zegara na ścianie. Moich rodziców nie ma – mam nadzieję, że poszli się wyspać. Madison zajęła miejsce przy moim łóżku zamiast mamy. Śpi, głowę ma opartą o swoje ramię, które złożyła obok mojego biodra, twarzą w moją stronę. Jej długie, czarne proste włosy opadają na moją dłoń. Oczy ma opuchnięte od płakania.

Ja po prostu leżę i przyglądam się jej ładnej twarzy, gdy ona śpi.

Kiedy dorastałem, nigdy bym nie pomyślał, że zakocham się w Madison. Zawsze była tylko młodszą siostrą Sashy, chowającą się w cieniach i czerwieniącą się za każdym razem, gdy zdobyła naszą uwagę. Ale wtedy ten chuderlawy, nieśmiały dzieciak wyjechał na letni obóz przed jej pierwszą klasą i wróciła z krągłościami i figlarnym błyskiem w oku.

Nikt w naszym liceum na początku jej nie rozpoznał, ale faceci na pewno ją zauważyli. Byłem jednym z nich. *Ale*, z metamorfozą czy też nie, nadal była siostrą Sashy.

Noc, kiedy przyłapał mnie, gdy całowałem się z nią na moim podwórku, była jedynym razem, kiedy zamachnął się na mnie z intencją, żeby zrobić mi krzywdę. Przez tydzień po tym chłodno mnie traktował i byłem przekonany, że to koniec naszej przyjaźni.

Chociaż w końcu to zaakceptował. Po tym, jak przedstawił mi godzinną mowę o tym, że mi przywali, jeśli kiedykolwiek usłyszy coś o zaliczaniu z nią baz i o tym, że z miejsca mnie zabije, jeśli ją zranię.

Szkoda, że go tu nie ma, by mógł dotrzymać swojej obietnicy.

Spragniony, sięgam po kubek z wodą stojący na szafce obok mojego łóżka. Poza kilkoma przechadzkami po moim pokoju, oczywiście z asystą, nie ruszałem się z niego od dwóch dni i zaczynam już mieć tego dość. Pielęgniarki zmniejszyli dawkę leków przeciwbólowych i chociaż nadal odczuwam ból, to nie jest już tak mocny jak na początku.

Kiedy się odwracam, Madison już nie śpi, a jej oczy w kolorze whisky się we mnie wpatrują. Zasysam oddech, załatwiając tym sobie ostry ból w piersi. Nigdy nie zauważyłem, jakie podobne są do oczu Sashy.

Właściwie to są praktycznie identyczne.

- Byliście pijani? - Łzy spływają po jej policzkach. - Sasha prowadził po pijaku?

Ale ja słyszę tylko „Czy ty pozwoliłeś mu prowadzić po pijaku?”.

I prosta odpowiedź jest, że tak... pozwoliłem.

Drewniana podłoga trzeszczy pod moimi stopami, kiedy idę korytarzem naszego mieszkania. Sasha i ja wprowadziliśmy się tutaj prawie dwa lata temu, na początku naszego drugiego roku. Czynsz jest trochę wysoki, ale pub na dole i taras na dachu były zdecydowanymi atutami.

Stoję w bezruchu przed sypialnią Sashy, mój wzrok ogarnia pustą przestrzeń. Wszystko zniknęło. Nawet pinezki, na które przymocował plakaty do ściany.

- Dużo zrobiliście. - Mój głos odbija się w pokoju, tylko zwiększając pustkę w mojej piersi.

- Moi rodzice chcieli to wszystko teraz zabrać. Wiesz, żeby mieć z głowy. - Madison zatyka długi kosmyk swoich włosów za ucho. Waha się przez chwilę, zanim zmniejsza dystans między nami ostrożnymi krokami. Z jej wzrostem metr pięćdziesiąt i ledwo pięćdziesięcioma kilogramami, jest przy mnie malutka.

- Spakowałam dla ciebie większość twoich ubrań. Twoja mama powiedziała, żeby resztę zostawić na lato, więc będą tutaj, kiedy wrócisz na jesień.

Wrócić. Tutaj.

Znowu rozglądam się po pokoju, testując tę myśl. Czas stanął w miejscu, kiedy otworzyłem oczy w szpitalu. Chociaż odczuwam brak Sashy jak brak jakieś kończyny, to wciąż dryfuję we mgle. Nic z tego jeszcze nie do końca wydaje się być prawdziwe. Może do teraz bardziej bym już do tego przywyknął, gdybym poszedł na pogrzeb Dereka. Ale wtedy jeszcze nie mogłem wyjść ze szpitala. Wysłaliśmy kwiaty. Mało to wystarczające.

Madison przesuwając opuszkami palców w górę i w dół mojego ramienia w pocieszającym geście.

– Myślisz, że możesz znieść jazdę? – Taka właśnie jest moja dziewczyna. Właśnie straciła swojego jedyne brata i poza jednym histerycznym epizodem w szpitalu, była skupiona na mnie przez resztę czasu.

– Nie, ale to lepsze niż gnieźdzenie się w samolocie. – I bycie tym, na którego się gapią przez moją zielonożółtą, posiniaczoną twarz. Sześciogodzinna jazda z Lansing do Rochester na pewno będzie nieprzyjemna, ale przynajmniej mogę się rozwalić na tylnym siedzeniu. Może z tym długim, przeciągniętym przyjazdem mogę mentalnie przygotować się na to, co przyjdzie.

Jutro będę musiał zobaczyć mojego najlepszego kumpla w trumnie. Dzień później, będę oglądał, jak tą trumnę spuszcza się sześć metrów pod ziemię.

Od progu rozlegają się ciężkie kroki.

– Ile jeszcze pudeł?

– Tylko kilka – stwierdza Madison, przekrzywiając głowę w stronę korytarza, kiedy pojawia się mój tata. – Przyniosę walizki. Są na kółkach.

Kiwając do niej głową z wdzięcznością, odwraca się do mnie.

– Gotowy? Na pewno będziemy musieli zrobić kilka przystanków podczas drogi.

– Tak. Tylko... dajcie mi chwilę. – Kiedy Madison waha się, czy wyjść, dodaję delikatnie: – W samotności.

Spuszcza głowę i nią kiwa. Nie umiem stwierdzić, czy ją tym zraniłem. Szczerze mówiąc, w tej chwili się tym nie przejmuję, okrążając walizki i pudła z książkami, które blokują drogę do mojego pokoju. Ktoś – zakładam, że Madison – go wysprzątał, ściągając pościel z łóżka i ładując ją do torby. Kilka monet, które walały się po mojej komodzie, zostały pozbierane do małego słoika, a śmieci zostały wyrzucone.

Przesuwam palcami po okładce podręcznika do typografii, kiedy okrążam swoje spakowane rzeczy. Powinienem był napisać ten egzamin w poniedziałek rano. Moja mama spotkała się już z moimi profesorami i dziekanem. Papierkowa robota została wypełniona i gwarantuje, że moje egzaminy są przełożone do sierpnia, zanim będę mógł zacząć mój ostatni rok zajęć i grania w piłkę. *Jeśli* będę mógł grać.

Ale to oznaczałoby granie w zespole bez Sashy.

Nigdy nie grałem w zespole bez niego. Nasze całe dzieciństwo polegało na rzucaniu piłką i uderzaniu w krążki. Byliśmy duetem. Kiedy oboje próbowaliśmy grać w zespole podczas naszego pierwszego roku bez stypendiów, zaakceptowałem możliwość nie grania wcale, jeśli mój przyjaciel by się nie zakwalifikował.

Nigdy nie musiałem zaakceptować życia bez niego.

Materac piszczy pod moją wagą, kiedy siadam na łóżku. To *tutaj* powinienem skończyć tamtej nocy. Siedzieć tutaj, na tym łóżku, otoczony

granatowymi ścianami, stłumionymi głosami i muzyką dobiegającą z baru na dole, z tą cholerną okładką podręcznika wbijającą mi się w nogę, kiedy przeklinałbym siebie za to, że nie zacząłem uczyć się wcześniej.

A nie być wyciąganym z mojego samochodu z boku drogi, podczas gdy głowy moich przyjaciół zderzyły się z chodnikiem.

Książka uderza w ścianę naprzeciwko mnie z głośnym hukiem, tak mocno, że pęka jej grzbiet. Słyszę szybkie kroki w korytarzu i Madison pojawia się w progu, jej piękna twarz pełna paniki. Kiedy mnie widzi, jej ramiona opadają.

– Och, myślałam, że upadłeś, czy coś... – Spogląda na nowe wyżłobienie w ścianie, a potem na podręcznik leżący poniżej. Jej dłonie na gardle przyciągają moją uwagę do jej długiej, cienkiej szyi. Zawsze uważałem ją za mocno kuszącą, nie będąc w stanie trzymać od niej z dala ust na zbyt długo. Teraz po prostu na nią patrzę, myśląc o tym, jak kruche jest ludzkie ciało.

Zastanawiając się, co dokładnie złamało kręgosłup Dereka, kiedy wyrzuciło go z auta. Część samochodu? Ziemia?

Madison chwyta za rączkę mojej walizki i zabiera ją z mojego pokoju bez żadnego innego słowa.

Wytrzymuję kolejnych dziesięć sekund, zanim przełykam ślinę gromadzącą się w moich ustach. Wchodząc do kuchni, otwieram lodówkę w poszukiwaniu wody. Ktoś wyrzucił z niej pudełko z pizzą. Zostało tylko kilka przypraw i sześciopak piwa Miller Genuine Draft.

Ulubione piwo Sashy.

Stawiam trzy szybkie kroki w stronę zlewu i się nad nim pochylam, spodziewając się wymiotów. I mając nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo

biorąc pod uwagę wszystkie moje urazy, prawdopodobnie zemdlałbym z bólu.

– Będzie dobrze – mama mówi delikatnie, pojawiając się znikąd.

Chłodna dłoń dotyka mojego karku, zimno jest kojące.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Bo w tej chwili żałuję, że ja też tamtej nocy nie zostawiłem swoich pasów niezapiętych.

Uśmiecha się lekko, ale jej uśmiech nie sięga oczu.

– Jesteś gotowy jechać do domu?

– Nie, ale nie bardzo mam wybór, co?

Zwiesza ramiona, jakby nagle osiadło na nich dziesięć ton. Wyciąga worek ze śmieciami z kosza.

– Przepraszam, mam.

– Wiem – szepce, wpychając do śmieci gazetę, który wystaje.

– Czeka. – Podchodzę do niej i ją wyciągam, zanim ma szansę go zawiązać.

Trzy gazety zostały wyrzucone. Wszystkie na pierwszej stronie mają tę samą historię, żadna nie wydaje się być prawdziwa. Ale jest tam Suburban mojego taty, lewa część maski wgnieciona, wszystkie szyby zbite. W drugiej na mniejszym zdjęciu widać praktycznie kupę metalu i cztery połączone kółka – symbol Audi – zwisający z tego, co musiało być kiedyś przodem samochodu.

To, jak choć jedna osoba mogła w tym przetrwać, jest cudem.

Słabo mi się robi na widok nagłówka – „Sześć osób zabitych w wypadku z udziałem pijanych studentów”.

- Jak oni mogą to drukować? - krzyczę, unosząc gazetę do góry. - Jeszcze nic nie udowodnili!

Mama kładzie dłoń na stercie papierów, delikatnie ciągnąc za gazety.

- Nie powinieneś tego teraz czytać.

Zacieśniam uścisk i pociągam, uwalniając je z jej palców. Używając blatu, żeby rozłożyć strony, przeglądam pośpiesznie artykuł, dopóki nie natrafiam na zdjęcie nastoletniej dziewczyny w połowie strony. Ma na sobie bluzę do rugby i uśmiecha się szeroko. „Szesnastoletnia Kacey Cleary z Grand Rapids w stanie Michigan” - głosi napis pod fotografią.

- Piszą tutaj, że nadal jest w krytycznym stanie, ale spodziewają się, że przeżyje - mówi mama, kiedy przeglądam artykuł, walcząc z każdym oddechem. Według tego, co tu piszą, wracali do domu z meczu rugby w konkurencyjnej szkole blisko Detroit. Powinni być w domu szybciej, ale zatrzymali się, żeby zjeść pizzę i świętować.

Ci, którzy zginęli, to byli jej rodzice, jej chłopak i inna, nastoletnia dziewczyna. Prawdopodobnie jej przyjaciółka. Więc właściwie wszyscy, którzy są ważni dla szesnastolatki.

Co to zrobi z jej życiem?

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

- Ma jakąś inną rodzinę?

- Jedenastoletnią siostrę, teraz zajmują się nią wujek i ciocia.

Jedenaście lat. To jeszcze dziecko.

- Powinniśmy odwiedzić ją w szpitalu?

- Twój ojciec próbował, ale ona nie... nie przyjmuje teraz nikogo. - To, jak się zawahała, mówi mi, że jest coś więcej, ale nie naciskam. Trzyma

otwarty worek ze śmieciami, czekając, aż wrzucę tam gazety. Niezręcznym ruchem jednego ramienia, zgarniam je łokciem i zamiast tego trzymam pod pachą.

Gdyby tylko nie zatrzymali się na pizzę.

Gdybym tylko został w domu, żeby się uczyć.

Gdybym tylko był trzeźwy tak, jak miało być.

Gdybym tylko nie oddał mu kluczyków.

Wychodzę z mieszkania, tonąc w morzu różnych „gdyby tylko...”.

Mój tata skręca w znajomy zakręt.

A mi drżą ręce. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

Mogę jechać tą ulicą z zamkniętymi oczami. Dwanaście metrów dalej jest stary, rozklekotany płot pana Petersona, który ja i Sasha rozwaliliśmy, gdy jeździliśmy na naszych deskorolkach. Kolejne piętnaście metrów i patrzę na wielkie okno wykuszowe ¹⁰ pani Meddock, które zbiłem uderzeniem krążka. Cztery drzwi dalej jest dom rodzinny Naomi Gomes, naszej opiekunki i pierwszej dziewczyny, która spodobała się Sashy i mnie.

¹⁰ Tak wygląda ;)



Dom znajdujący się obok należał do dziadków Dereka, dopóki go nie sprzedali i nie wyprowadzili się do Arizony.

I na końcu tej drogi bez przejazdu, dwa domy jednorodzinne stoją obok siebie. Dwa domy, do których wszedłbym bez wahania.

Aż do teraz.

Teraz moje wnętrzości skręcają się na ich widok. W tym po lewej jest cisza i spokój, jest jak grobowiec wieloletnich wspomnień. Przy tym drugim jest mnóstwo samochodów i ludzi o smutnych minach, którzy przyszli wyrazić swój żal w obliczu tej tragicznej straty.

I w końcu to do mnie dociera.

To się dzieje naprawdę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czerwiec 2008 r.

– Nie powinieneś mieć swojego temblaka? – Madison stawia dwie puszki coli na stoliku do kawy między stosem książek i naczyń z lunchu... i śniadania... i wczorajszych, ledwo tkniętych posiłków.

– Potrzebowałem przerwy. – Potrzebuję też przerwy od bycia jednoręką kaleką, ale to się raczej za szybko nie wydarzy. Nawet nie mogę zabijać czasu i mrocznych myśli grą na cholernej konsoli. Przynajmniej moja twarz już nie wygląda tak, jakby ktoś jej używał jako worka treningowego, a moje żebra zdrowieją. I już nie walczę o oddech. Przynajmniej nie fizycznie.

Przechodząc ponad Murphym – mieszanką biszkoptowego labradora, którego Sasha pomagał mi wybrać w schronisku osiem lat temu – Madison zajmuje miejsce obok mnie na kanapie. Czuję, że mi się przygląda, ale nie odrywam wzroku od telewizora, kiedy ostrożnie obejmuję ją swoim zdrowym ramieniem. Nie wiem, czy znajduje w tym jakiegokolwiek pocieszenie. Ja na pewno nie.

Zasługuje na silną pierś, żeby mogła się na niej oprzeć i która wchłonęłaby jej łzy, na oparcie dla jej frustracji. Chłopaka, który złagodzi jej ból po stracie jedyne go brata. A nie faceta, który nie może spojrzeć w te zbyt znajome oczy koloru whisky na dłużej niż trzy sekundy, zanim odwróci wzrok.

Zapada między nami niezręczna cisza. Przechodzimy w dziwną fazę odosobnionego żalu, gdzie wszyscy zaczęli akceptować rzeczywistość. Ciężko jest tego nie robić. Nieobecność Sashy w naszych życiach jest jak wielka szczelina na środku mostu. Jak, do cholery, przejść na drugą stronę, kiedy nie masz cementu? Pewnie możesz tam położyć trochę drewna, żeby sobie pomóc ruszyć dalej. Ale most już nigdy nie będzie tak prawidłowy – i silny – jak był kiedyś.

Z tym zaakceptowaniem rzeczywistości, przyszło mnóstwo beużytecznych „co, jeśli” i mnóstwo wściekłych „dlaczego” od moich rodziców, rodziców Sashy, od Madison. Nawet od znajomych.

– *Dlaczego* w ogóle pojechaliście na imprezę przed egzaminami?

– *Dlaczego* nie mieli zapiętych pasów?!

– *Dlaczego* mielibyście robić coś tak głupiego?

Słyszę w tym niewypowiedziane oskarżenia. Byłem tam. Byłem tego częścią tak bardzo, jak Sasha i Derek. I chociaż rozumiem, skąd się wzięły, to te słowa wiszą nad moją głową, dopóki nie opuszczę azylu w tym pokoju.

– Fitz i Henry do mnie pisali – mówi Madison. – Robią w ten weekend imprezę. Chcieli wiedzieć, czy przyjdziemy. Dużo znajomych tam będzie.

– Spotkam się z nimi kiedy indziej – wypowiedziałem do nich ledwie dwa słowa na pogrzebie, a od tamtego czasu nie odpowiedziałem na żadne e-maile ani smsy.

– Chcesz pomocy w nauce? – Pochyliła się, żeby otworzyć podręcznik. Mama zostawiła tu moje książki jakieś dwa tygodnie temu. Nie podniosłem nawet jednej z nich, sama myśl o szkole mnie wykańcza.

– Nie, dzięki. A ty nie musisz się uczyć na własne egzaminy?

Madison wzrusza ramionami, a jej ręka opada na gazetę do połowy zakopaną pod bałaganem na stole. Na zdjęcie szesnastoletniej dziewczyny, której twarz się na mnie gapi. Jeszcze nie czuję się dobrze, używając jej imienia.

Odchrząkając, pyta cicho:

– Powinniśmy ją odwiedzić? – Madison i jej rodzice czują do niej takie samo współczucie jak ja. W końcu to był je brat, a ich syn, który siedział za kółkiem.

– Nie wiem. Nie przyjmuje teraz żadnych gości. – Tłumaczenie: kiedy moi rodzice tam polecili, żeby się z nią zobaczyć i pielęgniarka powiedziała jej o jej gościach, dziewczyna krzyczała tak mocno, że musieli jej dać środki uspokajające. Najwyraźniej zażądała, żeby szpital zadzwonił po policję i kiedy w końcu przyjechali, zagroziła wszelakimi uszkodzeniami ciała i morderstwem, jeśli ktokolwiek z nas postawi stopę w jej pokoju. Z całym ciałem w gipsie, nie może się teraz nawet poruszyć.

Jest pod opieką psychologa.

Madison wzdycha, po czym kiwa głową, zbierając swoje długie, czarne włosy, żeby związać je gumką na głowie.

– Wyglądasz bardzo ładnie. – I naprawdę tak uważam, choć pusty ton mojego głosu sprawia, że brzmi to nieszczerze. W większość dni przebiera się po pracy w legginsy i podkoszulek zanim przyjdzie. Dzisiaj zostawiła sukienkę.

– Dzięki. – W jej oczach pojawia się błysk. Pierwszy, jaki widzę od wiosennej przerwy.

– Jak ci idzie staż? – Nie sędzę, żebym wcześniej zadał już jej to pytanie. Madison właśnie skończyła swój pierwszy rok w Waszyngtonie, w

jednym z najlepszych programów dla dziennikarzy. Opóźniła początek o dwa tygodnie z powodu wypadku, ale zdecydowała, że musi pracować, żeby zająć swój umysł. Ja miałem mieć staż w Kreatywnej Agencji mojej mamy w czasie wakacji. Jak widać, nie robię tego.

– Dobrze. Pracuję z taką grupą ludzi. Są naprawdę mili. Są... – zaczyna mówić o swoich współpracownikach i jej szefie, a potem o artykule, do którego fakty musiała dziś sprawdzać. Choć nie słucham jej z dokładnością, to pozwalam jej delikatnemu głosowi przebić się przez moje mroczne myśli, choćby i na chwilę.

– Kto wygrywa? – pyta nagle, wykręcając swoje dłonie. Znak, że jest zdenerwowana. Chyba zauważyła, że jej nie słuchałem.

– Detroit. – Red Wingsi; ulubiony zespół mój i Sashy oraz powód, dla którego wybraliśmy uczelnię w Michigan; są bliscy wygrania Pucharu Stanleya, a ja nie mógłbym się tym mniej przejmować. Teraz to dla mnie tylko sposób na to, żeby mijał czas.

Madison nagle staje przede mną, blokując mi widok na telewizor. Jej dolna warga drży, a w oczach wzbierają się łzy.

– Chcesz mnie jeszcze? – pyta cicho, prawie szeptem.

Wypuszczam powietrze z płuc, nagle uderza we mnie to, na jak bezbronną teraz wygląda.

– Oczywiście, że chcę, Mads. Wiesz, że tak. To... – Zwieszam głowę. – Minęło dopiero pięć tygodni. I po prostu to... – A czym jest to *to*, tak dokładnie? To znaczy, moje obrażenia są prawdziwe. Żałoba jest prawdziwa. A poczucie winy rozrywa mnie od środka.

Unoszę głowę i widzę, jak Madison spuszcza ramiączka jej niebieskiej sukienki w dół po ramionach. Materiał zsuwa się po jej krągłościach, aż

zbiera się w kałużę u jej stóp. Złamane kości czy nie, krew i tak szybko pędzi w dół mojego ciała, kiedy ona sięga do tyłu i odpina swój stanik, pozwalając mu opaść. Jej majtki są następne.

I potem po prostu tam stoi, czekając i wykręcając nerwowo palce.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc, kiedy sięgam do spodni i odpinam guzik przy jeansach.

– Nie wiem, ile to ci sprawi przyjemności.

– Chcę spróbować. – Sięga w moją stronę, kiedy unoszę ciało i pomaga mi zsunąć spodnie z bioder. Unosząc jedną nogę, a potem drugą, ostrożnie siada na mnie okrakiem i pochyla się do przodu, jej oddech jest szybki i urywany.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że tego nie chcę. Albo że część mnie tego nie chce. Dowód jest tuż obok, między nami.

A mimo to czuję się z tym źle.

Sięgając niżej, prowadzi mnie w siebie. Jęczę, kiedy czuję jej ciepłe wnętrze, pozwalając głowie opaść na poduszkę, a myślom odpłynąć.

Może to wszystko, czego potrzebuję, by znowu poczuć się żywy.

Cześć, mam na imię Tara. Jestem ratownikiem medycznym. Słyszysz mnie? Miałeś wypadek. Pomożemy ci.

Jej głos, jej słowa tkwią w moim umyśle jak zdarta płyta długi czas później, moje ciało spływa potem, a oddech jest szybki i spanikowany.

To był tylko sen, mówię sobie.

Najgorsza noc w moim życiu się skończyła, przypominam.

Ja po prostu żyję w jej cieniu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lipiec 2008 r.

– Miał zero przecinek czternaście promila. Prawie podwójnie przekroczony prawny limit¹¹!

Moja sypialnia znajduje się na tyłach domu, ale nie mam problemu w usłyszeniu tych gniewnych słów dochodzących z kuchni.

Chyba mój tata w końcu dostał raport toksykologiczny.

– Wiesz, jak oni szybko jechali? Niech to szlag! Nigdy bym nie pomyślał, że będę żałować, że te samochody nie miały wbudowanej czarnej skrzynki. – Mogę sobie wyobrazić, jak mój tata przemierza nerwowo podłogę, z dłońmi na głowie. Tak właśnie robi, kiedy jest wystarczająco łyzy, by przeklinać, co nie zdarza się często. – Moja firma ubezpieczeniowa będzie miała z tym używanie! Do czasu, kiedy ze mną skończą, nie będzie mnie stać na składki na ubezpieczenie. Mamy szczęście, że w ogóle mamy najwyższą możliwą polisę.

„Szczęście”. Świetny dobór słów, tato.

– A pozew? – pyta mama.

Tata jęczy.

– Co za cholerny bałagan. Wypadek poza stanem i prowadził przyjaciel naszego syna. Po pijaku! Gdyby nie to ubezpieczenie

¹¹ Dopuszczalna maksymalna ilość alkoholu w krwi kierowcy w Wielkiej Brytanii wynosi 0,8. Dla porównania, w Polsce jest to 0,2; w Niemczech 0,5; a w Czechach 0,0.

gwarantujące odszkodowanie niezależnie od winy, to w tej chwili sprzedawalibyśmy nasz dom. A rodzina tego chłopca – Billy’ego – chce więcej niż to, ile prawo stanowe zmusza do wypłaty firmę ubezpieczeniową Clearysów. Jeśli tego nie dostaną, to tak, powinniśmy spodziewać się pozwu. Przeciwno nam i może nawet Cyrilowi i Susan, chociaż to pewnie nie dojdzie zbyt daleko.

– Ale i tak będą musieli pokryć opłaty sądowe, tak?

– Nie. Tym zajmie się firma. Partnerzy już zgodzili się na podzielenie godzin, jeśli do tego dojdzie.

– A rozmawiałeś o rachunkach medycznych z ciotką tej dziewczyny?

Wzdycha.

– Nie wyjdzie za szybko ze szpitala. Nasze ubezpieczenie i ich rodzinne ubezpieczenie nie da rady wszystkiego pokryć. Jej ciocia wydaje się być skłonna powstrzymać się od pozwu, jeśli pomożemy spłacić resztę.

– Tak, oczywiście. Pewnie weźmiemy pieniądze z naszego funduszu?

– Nie wiem, czy mamy inny wybór.

Mój żołądek zwija się w supeł. „Fundusz” oznacza tylko jedną rzecz: ich marzenie na czas emerytury – letni domek w Cape Cod, tuż przy oceanie. Zaczęli oszczędzać w dniu, gdy wzięli ślub. Na początku jakieś drobne, bo żadne z nich nie było w stanie odkładać większych kwot. Choć nie wiem, ile w tej chwili mają pieniędzy, to podejrzewam, że trochę tego jest. Mój tata zawsze był dobry w ich zarządzaniu.

Więc teraz nie zniszczyłem tylko ich rzeczywistości; rozwaliłem też ich marzenia.

Nastaje milczenie, po czym słychać krzyk.

- Co, do cholery, Cole sobie myślał, kiedy dawał mu kluczyki! W raporcie ze szpitala było napisane, że sam miał zero przecinek dziesięć promila we krwi. Sam by lepiej pojechał!

Uchyłam lekko drzwi w chwili, gdy mama syczy:

- Mów ciszej! I nie waż się tak myśleć! Za każdym razem, kiedy o tym myślę, to... - urywa i zanosi się szlochem. - Go też mogliśmy stracić w tym wypadku.

Tata mówi ciszej, ale i tak go słyszę.

- A nie myślisz, że już go straciliśmy?

Mama wzdycha przeciągle.

- Minęły tylko dwa miesiące. Dojdzie do siebie.

- A czy ktokolwiek może do siebie dojść po czymś takim, Bonnie? Sześć osób nie żyje. A ta biedna dziewczyna nadal leży w szpitalu przez jego lekkomyślność.

- To nie była...

- Miał być kierowcą, do cholery!

- Wystarczy! - Usłyszenie, jak mama krzyczy na tatę sprawia, że włoski mi stają dęba na karku. To takie do niej niepodobne. Kłócenie się jest do *nich* niepodobne.

Zalega głucha cisza, po czym pada pytanie:

- Czy on w ogóle wstał dziś z łóżka?

Zerkam ponad ramieniem na wściekle czerwone liczby na zegarku. Druga po południu. Ale jeśli mam być szczery, nie zasnąłem aż do szóstej rano. Czemu tata w ogóle jest w domu o tej godzinie? Chyba że... och, tak, jest sobota. Straciłem poczucie dnia, zwłaszcza teraz, kiedy Madison

przestała przychodzić codziennie wieczorem po pracy. Mówi, że to dlatego, że jest zajęta. Wiem, że kłamie.

W tajemnicy, ulżyło mi. Te codziennie dawki poczucia winy za każdym razem, gdy siadała obok mnie na kanapie, zaczęły stawać się nie do zniesienia.

– Cyril i Susan już wiedzą? – pyta mama.

– Nie. Pójdę teraz i im powiem. – Słyszę jego buty, kiedy idzie po podłodze w stronę frontowych drzwi.

Zamykam drzwi i wracam do łóżka, ciesząc się, że nie kłopotalem się tym, by odsłonić zasłony.

Cześć, mam na imię Tara. Jestem ratownikiem medycznym. Miałeś wypadek. Pomożemy ci.

– Nie potrzebuję pomocy. Nic mi nie jest. – Słyszę własny głos. I musi tak być, bo nie ma teraz żadnych pasów trzymających mnie, żebym nie przetoczył się na bok. Jestem gotowy do tego, by wstać. Do czasu, kiedy spostrzegam Sashę leżącego obok mnie, z martwym spojrzeniem wbitym w moją twarz.

I nagle nie mogę się ruszać.

Nie mogę zamknąć oczu.

Nie mogę nawet mrugnąć.

Nie mogę zrobić nic, by uciec od Sashy i jego martwego wzroku.

Niewyraźny druk w gazecie nie oddaje jej sprawiedliwości.

Ze swoim białoczarnym ograniczeniem, z pewnością nie podkreśla iskry w tych jasnoniebieskich tęczęwkach, ani jej włosów – tego samego koloru, co słodkie papryczki, które mama hodowała w ogródku.

Kacey Cleary jest ładna. *Naprawdę* ładna.

A przynajmniej taka *była*. Nie mam pojęcia, w jakim stanie była, gdy wyszła cało z tego wypadku, poza tym, że był on „krytyczny”. Czy po tym, co jej zrobiliśmy, twarz, na którą teraz patrzę, nadal tak wygląda? Czy jest koszmarnie zniekształcona? Zastanawiam się, co w tej chwili robi i cały czas obecny ścisk w żołądku powiększa się z tą myślą.

– Myślałam, że powiedziałaś, że Facebook jest głupi?

Podskakuję, kiedy Madison nagle się zza mnie odzywa, cicha muzyka z zestawu stereo maskuje jej kroki.

– Powiedziałem, że brzmi lamersko. – Przychyłam nieco laptopa, z dala od jej oczu. Wydaje się, że w dzisiejszych czasach wszyscy, plus ich matki, mają tam konta. Wszyscy oprócz mnie. Kiedy chcę porozmawiać ze znajomymi, to po prostu biorę swój telefon. Nigdy wcześniej nie widziałem żadnej wartości w tym fenomenie.

Aż do teraz.

Bo Kacey ma tam konto. Profil nie jest ustawiony na prywatny i pęka w szwach z jej postami i zdjęciami – z przyjaciółmi, ludźmi z drużyny, z rodziną.

Rodzice, chłopak, najlepsza przyjaciółka, których pomogłem zabić.

Młodsza siostra z czarnymi włosami, której twarz jest jej wiernym odbiciem. Która teraz jest sierotą.

Musi być tutaj ponad dwieście zdjęć. I siedziałem na tej kanapie przez wiele dni, z laptopem w rękach i zapamiętywałem każde z nich.

Kacey i jej najlepsza przyjaciółka, Jenny, w bikini, trzymające się za ręce i zeskakujące z skalistej krawędzi do jeziora poniżej, z ustami otwartymi w radosnym krzyku. Kacey, rzucająca się ze swoim tatą po trawie, wsmarowująca w jego nos coś, co wygląda na roztopioną czekoladę. Kacey i jej chłopak, Billy, trzymający się za ręce, śmiejący się, całujący.

Kacey, uśmiechająca się złośliwie do aparatu. Zawsze uśmiechnięta.

Czy ten uśmiech przetrwał?

Wraz ze zdjęciami jest masa postów. Urocze droczenie się między Kacey i jej przyjaciółką, która najwyraźniej lubiła Hannah Montanę, podczas gdy Kacey wyraźnie nie pałała do niej sympatią. Zabawne jednozdaniowe komentarze między nią a jej tatą, gdzie jej ojciec cytował stare filmy, a ona odpowiadała w najbardziej abstrakcyjny sposób. Billy i jej starania, żeby go prześcignąć w najbardziej tandetnych żartach typu „Jak nazwiesz...?¹²”, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Dzięki Facebookowi dowiedziałem się, że Kacey ma małą armię znajomych, którzy błagają ją, by się z nimi spotykała w weekendy. Czasami pisała, że tak, że ona i Jenny przyjdą. Nigdy nie pisała tylko o sobie. A czasami pisała, że spędza czas z rodziną. To jasne, że rodzina Cleary była ze sobą blisko.

¹² Coś jak nasze suchary. ☺

Np. *What do you call an alligator in a vest?*

- *An investigator.*

Jej ostatni post brzmi: „Powodzenia następnym razem, Saints! Nie możecie pokonać tej rudowłosej, irlandzkiej dziewczyny”. Jest z dwudziestego piątego kwietnia.

Piątek, dzień wypadku.

Po tym jest tylko niekończący się strumień życzeń powrotu do zdrowia i modlitw od przyjaciół oraz rodziny na jej tablicy.

I żadnej odpowiedzi od Kacey.

Ale jest za to masa potępiających komentarzy o „tych dupkach, którzy jej to zrobili”.

– Nie masz dość ciemności? – Madison włącza lampkę na stoliku. Drży w zimnym powietrzu piwnicy. – Na zewnątrz jest pięknie. Jest prawie trzydzieści stopni i błękitne niebo. – Jej wzrok zatrzymuje się na mojej nieogolonej twarzy, wygniecionych jeansach i koszulce, a ten grymas między jej brwiami się pogłębia. – Kiedy ostatnio wychodziłeś na zewnątrz?

Murphy słyszy słowo „zewnątrz” i unosi gwałtownie głowę, machając ogonem. Zamykam laptopa, po części z niechęcią, po części z ulgą.

– Nie dziś.

Wczoraj też nie.

Prawdopodobnie powinienem wziąć tego biednego psa na spacer. Teraz mogę sobie z tym poradzić. Lekarz w zeszłym tygodniu zezwolił mi na lekkie ćwiczenia. Mojemu ciału – w przyzwoitej kondycji przed wypadkiem, pomimo mojego urazu ramienia – mogłoby to się teraz przydać.

– Twoi rodzice nadal są w biurze? – pyta Madison, kiedy przysiada na brzegu kanapy, jakby próbowała unikać brudu. Albo mnie.

Szlag, może i się nie ogoliłem i nie wybrałem czystych ubrań, ale się wykapałem. Nie *wydaje* mi się, żebym cuchnął. Trochę mnie kusi, żeby siebie powąchać. Ale po spędzeniu całego dnia, dobijając się zdjęciami zmarłych obcych, stwierdzam, że tak naprawdę mam to gdzieś.

– Tak. Ostatnio coraz więcej. Tata ma wielką sprawę, więc... – Więc wykorzystuje to jako wymówkę, żeby nie wracać do domu. A kiedy już się pojawia, to ma w dłoni szklankę pełną szkockiej. Może i się nie zatacza, ale to i tak jest niepokojące. Mój tata nigdy nie lubił cięższych alkoholi.

I nigdy też nie kłócili się z mamą. Pewnie, mieli małe sprzeczki nad wynoszeniem śmieci albo opuszczaniem deski toaletowej, ale nigdy żadnych poważniejszych kłótni, żadnego wyzywania, żadnych nieporozumień, które sprawiały, że w domu panowała nuklearna zima.

Ale ostatnio wyglądało na to, że wszystko, co robili, to były kłótnie.

Kiedy dorastałem, moi rodzice byli tymi, z którymi moi przyjaciele chcieli spędzać czas. Lubili się śmiać i z wszystkimi żartować, niczego nie biorąc zbyt poważnie. Moja mama była uprzejmym kierowcą, a tata uwielbiał przeklinać na komentatorów hokeja tak bardzo, jak my. Nigdy byście nie zgadli, że on jest wysoko cenionym prawnikiem, a mama prowadzi małą, ale odnoszącą sukcesy firmę projektancką. W weekendy mamę można było znaleźć w kuchni upaćkaną mąką, a tata spędzał godziny, doprowadzając żywopłot do perfekcji.

Był mężem, który każdego poranka robił swojej żonie kawę, bo ona nie lubi rano wstawać. Ona była żoną, która prasowała mu koszule, bo on tego nie cierpi. Byli parą, która zawsze szła spać razem.

Ale to wszystko się zmieniło.

Cisza zapada między mną a Madison. Czekam, aż ją przerwie. Wiem, że to nastąpi. Skubie swoje paznokcie. Robi to tylko wtedy, kiedy zaraz zrobi coś, co będzie nieprzyjemne.

– Moja psycholog powiedziała, że mogłaby cię gdzieś wcisnąć, jeśli byłbyś zainteresowany tym, żeby z kimś porozmawiać.

– *Rozmawiałem z kimś.* – Wyciągam z kieszeni buteleczkę i nią potrząsam. Małe zielono-białe tabletki Prozaku ¹³ grzechoczą niczym marakasy. Najwyraźniej potrzeba trzech do czterech tygodni, żeby pojawiły się jakieś efekty. Czyli powinny zacząć działać mniej więcej już.

– Ale ci się nie poprawia.

– Nie wszyscy mogą zapomnieć tak łatwo jak ty. – W chwili, gdy te słowa opuszczają moje usta, w chwili, gdy widzę załamanie na jej twarzy, od razu żałuję, że je wypowiedziałem.

– Kim ty jesteś? – wykrzykuje, a łzy płyną po jej twarzy. Madison nigdy nie była dobra w konfrontacji. – Chcę z powrotem mojego Cole'a. Nie wytrzymam już z tym! Nie tylko ty straciłeś Sashę! – Nie mam szansy jej przeprosić, bo już wbiega po schodach.

Powiniennem wstać, pójść za nią i w kółko ją przeproszać.

Ale zamiast tego otwieram laptopa i wpatruję się w bezkresne niebieskie oczy szesnastoletniej Kacey Cleary.

¹³Prozac – lek antydepresyjny

Klikam „odtwórz ponownie” po raz dziesiąty, oglądając stary filmik z piętnastoletnią Kacey. Ma na twarzy szeroki uśmiech, kiedy jej trener rugby zostaje oblany wiadrem wody. Myślałem, że tylko faceci robią takie rzeczy. Z pewnością tutaj tak nie jest, a przynajmniej nie z Kacey jako kapitanem.

Wygląda na to, że Kacey lubiła wycinać kawały – incydent z wiadrem wody jest tylko jednym z dowodów na praktyczne żarty, które znalazłem – co oznacza, że musiała mieć pokręcone poczucie humoru. Mogę stwierdzić, że ludzie z drużyny naprawdę ją lubili. Za każdym razem miała wokół siebie przynajmniej cztery czy pięć osób. Za każdym razem, gdy jej usta się poruszały, oni się śmiali. Łatwy i przyjemny sposób bycia jest tak rzadki u dziewczyn, przynajmniej u tych, które znam. Madison na pewno tego nigdy nie miała. Zawsze była nieśmiała i raczej nieświadoma swojego uroku. Podczas gdy uwielbiam jej wdzięk, to jest coś zdecydowanie seksownego w dziewczynie, która jest pewna siebie.

Ale czy to wszystko się zmieniło w życiu Kacey?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sierpień 2008 r.

Na sprzedaż.

Czuję się tak, jakby ktoś przywalił mi tym znakiem w brzuch.

– Nigdy nie pomyślałabym, że go sprzedadzą. Susan kocha ten dom. – Mama staje za mną i obejmuje mnie w talii, kiedy patrzę na podwórko Danielsów z naszego ganku. – Jest na rynku jeden dzień, a agencja już dostała mnóstwo ofert.

Szukam właściwych słów, ale żadnych nie znajduję, więc zamiast tego próbuję odchrząknąć i usunąć gulę z mojego gardła.

– Miło cię tutaj widzieć, Cole. Przydałoby ci się trochę słońca. – Sięga dłonią do mojego policzka. – I trochę kremu do golenia.

Brzmienie mojego własnego imienia mnie irytuje. Na początku sprawiało tylko, że kilka włosków na karku stawało mi dęba. Później dreszcze. Później grymas. Ale teraz, kiedy słyszę „Cole”, czuję się tak, jakby ktoś upominał mnie za coś okropnego, co zrobiłem. W mojej głowie, głos ratownika medycznego wciąż je powtarza, kiedy się mną zajmowała, podczas gdy moi przyjaciele leżeli martwi kilka metrów dalej. Gdy Kacey była uwięziona w tym samochodzie.

Kiedy słyszę jej imię, świeża fala poczucia winy przemywa się przez moje ciało.

Wolałbym, by przestała go używać.

– Wcześniej widziałam się z Madison. Pytała o ciebie. Mówiła, że się pokłóciliście?

Poza kilkoma wiadomościami, w których sprawdzała, co ze mną, nie rozmawiałem z nią, odkąd wybiegła z mojego domu prawie trzy tygodnie temu. Wraca do Waszyngtonu w następny czwartek.

Dwa dni przed tym, jak ja wyjadę do stanu Michigan.

Nie ma żadnego fizycznego powodu, przez który miałbym nie wrócić do szkoły. Moje żebra i obojczyk się wyleczyły, jeśli brać pod uwagę ostatnią wizytę u lekarza i prześwietlenie. Doktor nawet ustalił wagę ciężarów, żebym znów zbudował swoje mięśnie. Zezwolił mi na treningi.

Szkoda tylko, że już zrezygnowałem z drużyny.

Trener wysyłał mi e-maile przez całe lato. W końcu, dwa tygodnie temu, powiedziałem mu. Nie sądzę, żeby był jakoś bardzo zdziwiony. Oczywiście, nikomu innemu jeszcze się nie przyznałem. To tak naprawdę nie ma znaczenia w porównaniu ze wszystkim. Wolałbym zapomnieć o piłce i ruszyć naprzód.

Chociaż się uczyłem. Jeśli podszedłbym do egzaminów dzisiaj, to prawdopodobnie wyszedłbym na trójkę.

– Może tam pójdziesz i z nią porozmawiasz? Przeprasz – mówi mama, delikatnie popychając mnie w plecy.

Wzdycham, wiedząc, że już czas, żeby mieć to za sobą.

Pamiętam ostatni raz, kiedy faktycznie zapukałem do tych drzwi. Miałem siedem lat i właśnie okropnie pokłóciłem się z tatą. Oczywiście, wymusnąłem się przez okno mojego pokoju z torbą ciuchów i moimi

figurkami superbohaterów, zamierzając uciec. I znowu, oczywiście, ruszyłem w stronę mojego drugiego domu. Stwierdziłem, że zapukanie do drzwi będzie najlepszym wyjściem, zanim rozpocznę swój wywód na temat tego, dlaczego rodzice Sashy powinni pozwolić mi się wprowadzić. O tym, że nie jadłem zbyt dużo i mogłem zająć jeden pokój razem z nim.

To dokładnie te same drzwi, tyle że teraz są pomalowane czarną farbą, a tą w kolorze leśnej zieleni.

Mija kilka minut, zanim ktoś je otwiera, a kiedy to się dzieje, to w progu nie staje Madison. To kobieta, która zna mnie tak dobrze, jak moja własna matka.

– Witaj, Cole – mówi Susan Daniels. Zawsze drażniłem się z Sashą, mówiąc, że może i jego mama „zostaje w domu”, ale pracuje na boku jako pani w seks-telefonie. Potwornie go to wkurzało. Chociaż teraz nie słyszę w jej głosie takiej zmysłowości.

Smutek musiał ją stłumić.

Choć nie zamierzam, liczę sekundy niezręcznej ciszy. Trzy. A mam wrażenie, że trzydzieści.

Ale wtedy stawia krok do przodu i mnie obejmuje, zmuszając mnie do tego, bym się pochylił, kiedy chwyta mnie za kark i przyciąga do swojego niskiego ciała. Jej uścisk zacieśnia się dookoła mojego świeżo uleczonego obojczyka.

– Tak się cieszę, że cię widzę – szepce, kiedy się odsuwa, kładąc dłonie ma moich pokrytych zarostem policzkach i przytrzymując moją głowę w miejscu, przyglądając mi się. Jakby te oczy, które odziedziczyła dwójka jej dzieci, próbowały w milczeniu się ze mną porozumieć.

Zastanawiam się, czy może w nich wyczytać żal.

Wątpię, czy kiedykolwiek przestanę powtarzać, że jest mi przykro.

Wygładza swoją spódniczkę na biodrach, kiedy się odsuwa, robiąc dla mnie miejsce, żebym mógł wejść. Muszę wstrzymać oddech, kiedy przechodzę przez próg, jakbym nie mógł jednocześnie oddychać i wchodzić do domu Sashy.

Musiała to wyczuć, bo szybko bierze mnie za rękę i prowadzi korytarzem, obok salonu, w którym siedziałem w prawie każdą sobotę w liceum, przed wyjściem na imprezę, albo na film, lub po prostu gdzieś z kumplami. Zniknęły stopy płyt DVD i rodzinne zdjęcia z kominka. Zniknęły kolekcje ozdób i trofeów z półek. „Gabinet” w kącie – biurko normalnie zavalone dokumentami i akcesoriami biurowymi, gdzie Cyril zakopywał się w swojej pracy księgowego – zniknął. Dom Danielsów jest teraz czyściutki i doprowadzony do porządku, bez osobowości, skrywający swój ból i czekający, by powitać nową, niczego nieświadomą rodzinę.

– Nie będziesz tęsknić za tym miejscem? – Oddech, który wstrzymywałem, wydostaje się z moich płuc jednocześnie z moimi słowami, co sprawia, że brzmię na zachrypniętego i emocjonalnego.

Jej palce zaciskają się wokół moich.

– Myślę, że wszystkim nam przyda się zmiana. – Tylko tyle mówi.

Chociaż doskonale wiem, gdzie mnie prowadzi, to moje stopy i tak przyklejają się do podłogi, gdy wchodzimy do pokoju Sashy.

A raczej do tego, co *było* jego pokojem.

– Inaczej tutaj. – Przesuwam wzrokiem po jasnoszarych ścianach, kiedyś w kolorze ciemnej zieleni i naznaczonych od piłek do tenisa, które Sasha lubił od nich odbijać, zarówno po to, żeby zniweczyć stres, jak i po to, by doprowadzić siostrę do szaleństwa, której zagłówek łóżka był tuż po

drugiej stronie ściany. Telewizor i konsola do gier, sportowe plakaty, niebiesko-zielona kapa na łóżko, które miał, odkąd mieliśmy trzynaście lat... wszystko zniknęło.

Nie rozpoznaję nawet pokoju.

Sasha został wymazany. Nie jestem pewny, czy mam prawo być przez to zły, ale jestem. Przygryzam język, żeby powstrzymać się od oskarżeń, które byłyby jednocześnie bolesne i nieprawdziwe.

Susan otwiera szafę i wyciąga z niej pudło pokaźnego rozmiaru, które na boku ma napisane markerem moje imię.

– Sprzątałam jego pokój i pomyślałam, że te rzeczy powinny trafić do ciebie. No wiesz... – Uśmiecha się, ale usta ma zaciśnięte. – Sposób, żeby zapamiętać waszą przyjaźń. Byłeś dla niego wszystkim, Cole.

Wiem, że jej słowa miały być miłe, ale równie dobrze mogłaby mi wepchnąć szynę kolejową w gardło. Nigdy nie zapomnę o naszej przyjaźni.

Nie mogę wydusić z siebie nic poza:

– Dzięki.

– Jest ciężkie. Jeśli chcesz, żeby Cyril to dla ciebie zaniósł...

– Nie, dam radę. – Szybko podchodzę do pudła i łapię za nie od spodu, unosząc je w powietrze. Bo nagle mam ochotę po prostu się stąd wynosić.

Wychodzę na korytarz z kartonem w rękach i dostrzegam Madison w progu jej pokoju. Teraz sobie przypominam, po co w ogóle tutaj przyszedłem.

– Hej, Mads.

– Hej. – Przechyla głowę na bok, spoglądając na jej mamę w cichej wymianie zdań.

– Cóż, dom będzie otwarty za dwie godziny. Powinnam pójść i włożyć te ciasteczka do piekarnika. Przeczytałam, że potencjalni kupcy lubią takie rzeczy. – Susan jeszcze raz delikatnie łapie mnie za ramię, po czym znika w korytarzu.

Ruszam do pokoju Madison, który też został pomalowany, ale nie tak drastycznie zmieniony. Na tym samym łóżku, na którym oddała mi dziewczęctwo trzy lata temu, nadal są te same pościele w kwiecisty wzór.

Madison przełyka ciężko ślinę.

– Nie chciałam...

Przerywam jej.

– Przepraszam za to, co powiedziałem. – Przykro mi też z powodu wielu innych rzeczy. A zwłaszcza za to, co za chwilę zrobię. Moje słabe ramię zaczyna już boleć od ciężaru pudła. Stawiam je obok łóżka i siadam na materacu. – Wiem, że za nim tęsknisz i że cierpisz. Tak bardzo, jak ja. – Opieram łokcie na kolanach i się pochylam, zwieszając głowę i wgapiając się w drewnianą podłogę, żebym nie musiał na nią patrzeć, gdy wypowiadam kolejne słowa. – Nie wiem, jak długo zajmie mi pozbieranie się do kupy, Mads. Tylko pociągnąłbym cię za sobą, próbując to zrobić.

Słyszę ciche kroki i po chwili Madison się pochyla. Jej brzuch przyciska się do mojej głowy, a ona zaczyna przesuwac opuszkami palców po moim karku.

– Nie szkodzi. Wiem, że wcale tak nie myślałeś. Po prostu... ciężko mi patrzeć na ciebie w takim stanie. Nie wiem co zrobić ani powiedzieć. Nie wiem, jak ci to ułatwić.

– To jest właśnie problem, prawda? – Przełykam gulę wzbierającą się w moim gardle i sięgam, by wziąć jej dłoń w moją. Unoszę głowę i ją

odchylam, by spojrzeć jej w twarz. Te oczy. *Niech to szlag*. Zawsze uważałem, że są piękne, ale teraz mnie nawiedzają. – Powinniśmy siebie w tym wspierać. Ale ja tego nie robię. Nie mogę. Nie w tej chwili.

Jej dolna warga zaczyna drżeć, a w oczach wzbierają się łzy. Stara się ze wszystkich sił, by się nie rozpłakać. Tak, jak wtedy, gdy miała dwanaście lat i potknęła się na chodniku, tak mocno zdrapując sobie kolano, że do dziś ma bliznę. Przyznała się lata później, po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, że nie chciała, bym zobaczył, jak płacze, bo to przypomniałoby mi o tym, że była tylko głupią, młodszą siostrą Sashy. Tą, która podkochiwała się we mnie, odkąd miała siedem lat.

– Co masz na myśli?

Przyciągam do siebie jej małe, szczupłe ciało, sadzając ją sobie na kolana, bym mógł ją mocno przytulić. Znam tą dziewczynę całe swoje życie. Kochałem ją przez większą część czterech ostatnich lat. Nie skorzystałem dla niej z niezliczonej ilości „okazji” na studiach. Myślałem o naszej przyszłości – małżeństwie, dzieciach, domu. Aż do psa i kota, które początkowo by się kłóciły, ale w końcu nauczyłyby się ze sobą żyć.

Zawsze mówiłem, że zabiłbym tego, który by ją skrzywdził.

Chyba właśnie teraz to robię. Zdecydowanie czuję się tak, jakby był to kolejny gwóźdź do trumny, do której wczołgałem się trzy miesiące temu.

To powolna, bolesna śmierć.

– Chcę, żebyś wróciła do Waszyngtonu i skupiła się na sobie i tylko na sobie. I... jeśli znajdziesz kogoś, kto będzie cię wspierał, na kim będziesz mogła polegać... – mówię, choć myśl o tym, że mogłaby być z kimś innym, przyprawia mnie o mdłości – to będę się cieszył z twojego szczęścia.

– Czy ty... – Przerzywa jej szloch. – Zrywasz ze mną?

- Byłaś tylko ze mną i nie chcę, żebyś tego żałowała. Żebyś czuła się do mnie uwiązana przez to, co się stało – mówię to jak najdelikatniej umiem. – Puszczam cię wolno, Mads.

Otwiera szeroko usta, a łzy zaczynają spływać po jej policzkach.

- Nie... nie. Nie chciałam tego. Byłam po prostu zdenerwowana. Poradzimy sobie z tym. – Okręca się i chwyta dłońmi moje policzki, przyciskając usta do moich warg w słonym od łez pocałunku.

Już zdecydowałem. Ale i tak, jak odsunąć się od kogoś, kogo kochasz, kiedy wiesz, że to prawdopodobnie wasz ostatni pocałunek? A kiedy się pogłębia, a ona wsuwa jedną z dłoni pod moją koszulkę, wiem, że nie mam wyboru. Nawet jeśli przyjdą potencjalni kupcy, kusi mnie, żeby jeszcze raz przespać się z Madison na tym łóżku, za stare dobre czasy. Ale potem tchórzę.

Więc przerywam pocałunek, by spojrzeć jej w oczy. Przynajmniej tyle mogę zrobić, nie odwracać się od niej tak, jak robiłem przez ostatnie miesiące.

- Byłaś kilka metrów ode mnie przez całe wakacje, a ja nie zrobiłem nic. Będzie tylko gorzej, a nie mogę dodawać do tego wszystkiego jeszcze tego poczucia winy. Ja tylko... – Przełykam ślinę, ale gula w gardle nie znika. Oczy zaczynają mnie piec, kiedy zmuszam się, by wyszeptać: – Przykro mi.

Cokolwiek wcześniej ją trzymało, teraz pęka, bo zalewa się łzami.

- Proszę. Nie mogę też stracić ciebie – mówi pomiędzy szlochami.

Nie widzi tego?

Już mnie straciła.

Mama pochyła się nad oknem po mojej stronie w samochodzie.

– Jesteś pewny, że nie chcesz, żebym jechała z tobą? Mogę z powrotem wrócić samolotem.

– Dam radę, mamó. – Przesuwam palcami po kierownicy. *Mojej Hondy Accord*. Auto, którym pojechałby Sasha tamtej nocy, gdybym nie zamienił go na monstrualnego SUV-a taty. Spowodowałoby o wiele mniej uszczerbków na rodzinie Cleary. Może więcej z nich by przeżyło.

Może ja bym nie przeżył.

Siedziałem w samochodzie tylko kilkanaście razy w te wakacje i tylko kilka z tych razów byłem kierowcą. Nigdy dłużej niż dwudziestominutowa jazda. Teraz wybieram się w prawie sześciogodzinną podróż. „Ruszam naprzód”.

– Okej, dobrze... masz wszystko?

Mama zerka na tylne siedzenie, gdzie stoi turystyczna lodówka z gotowymi posiłkami, które przygotowywała przez ostatni tydzień. Nie do końca dobrze jadłem przez ostatnie miesiące i nie ufa mi, że nagle zacznę o siebie dbać, kiedy wrócę do Lansing. I prawdopodobnie ma rację.

– Tak, mamó.

– Kiedy przyjedzie twój nowy współlokator?

– W przyszłym tygodniu. – Kuzyn Dereka, Rich, wraca do stanu Michigan po swój dyplom ukończenia studiów. Napisał do mnie kilka tygodni temu; chciał wynająć pokój Sashy. Zajęło mi osiem dni, żeby odpowiedzieć, ale w końcu zgodziłem się na to, żeby się wprowadził. Nadal

nie jestem pewny, czy to dobry pomysł, czy kompletny nieznajomy nie byłby lepszy, ale przynajmniej nie będę sam.

– Cóż, to dobrze. To da ci trochę czasu, żeby w spokoju zdać egzaminy. I spokojnie podejść do treningów piłki.

– Yup. – Odwracam wzrok. Zawsze była w stanie wyczytać w nim kłamstwa.

Pochyla się, żeby pocałować mnie w czoło.

– Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz na miejscu. – Milknie, a potem dodaje: – Między tobą i Madison się ułoży. Nie martw się.

Przenoszę wzrok na znak „Sprzedane” wbity w sąsiedni trawnik. Rodzina Danielsów sprzedaje dom za dwa dni. Trochę szybko, ale wydaje mi się, że po prostu chcieli się stąd wyrwać. Następnym razem, kiedy tu przyjadę, nowa rodzina będzie już zadomowiona.

Mama się odsuwa, zostawiając miejsce tacie, by mógł podejść. Przeniósł swoje poranne spotkanie, żeby być tu, gdy będę jechał. Nie zdecydowałem, czy to dlatego, że chce się pożegnać, czy nie wierzy, że faktycznie odjadę.

– Dobrze postępujesz, Cole. Wracając tam, biorąc swoje życie w ręce. Musisz to zrobić. – Klepie mnie w plecy i daje krok do tyłu, wsuwając dłonie w kieszenie dresowych spodni.

Odjeżdżam z podjazdu, a w lusterku odbijają się dwa domy stojące obok siebie.

Wspomnienie śmiechu dzieci rozbrzmiewa w mojej głowie.

Prawie cztery miesiące mieszkanie było opuszczone. Właściwie jestem zaskoczony, że nikt się do niego nie włamał.

Pozwalam, by moja torba zsunęła się na podłogę z ramienia. Uderza w kuchenne płytki z hukiem, który rozbrzmiewa w pomieszczeniu. Miejsce ma sto metrów kwadratowych, czyli przyzwoitą wielkość jak dla dwójki studentów. W tej chwili wydaje się być zbyt wielkie.

Zbyt puste.

Poszcęściło nam się, bo wynajęliśmy je od seniorów z naszej drużyny piłkarskiej. Jest w odległości dziesięciu minut od kampusu i ponad popularnym w sąsiedztwie barem. Nigdy nie przeszkadzał nam hałas. W dniu, w którym ja i Sasha odebraliśmy klucze, dwa lata temu, byliśmy tu nie dłużej niż cztery godziny, gdy urządziliśmy parapetówkę. Noc skończyła się narzekaniami sąsiadów na hałas i policją pod drzwiami, ale na szczęście żadnymi zarzutami o spożywanie alkoholu przez nieletnich.

W zeszłym roku impreza była dwa razy większa.

Kiedy mój telefon zaczyna dzwonić, odbieram go bez patrzenia na ekran, spodziewając się, że to moja mama. W drodze tutaj dzwoniła już do mnie trzy razy.

– Dotarłeś?

Moje serce zaczyna walić na dźwięk jego głosu. A potem się orientuję.

– Rich? – Zapomniałem, że jego głos tak bardzo przypomina głos Dereka.

– Tak, stary! Słuchaj, miałem nadzieję, że będę mógł odebrać dziś od ciebie klucze. Może coś wypijemy na dole?

- Dziś? - Nie widziałem Richa od nocy wypadku. Nie zbliżałem się też do piwa. Nie jestem na to gotowy. - Pewnie.

- Okej. To do zobaczenia.

Rozłączam się, a puste uczucie w moim żołądku pogłębia się.

Zaciągnięcie do środka reszty mojej rzeczy trwa nie więcej niż piętnaście minut, po czym zostaje mi tylko chodzenie po pustej przestrzeni, pustce krzyczącej tak głośno, że praktycznie nie mogę usłyszeć własnych myśli. To wtedy zatrzymuję się nagle nad wielkim, brązowym kartonem, który dała mi Susan Daniels, trzymając w ręce scyzoryk. Od ponad tygodnia gapię się na to pudło, bojąc się je otworzyć.

Przecinam ostrzem taśmę sklejącą wierzch kartonu - wiedząc, że w środku znajdę nie tylko dzieciństwo Sashy, ale też własne. Misch-masz rzeczy, które dobrze rozpoznaję: nigdy nienoszona bluza z Notre Dame, którą Sasha kupił dziewięć lat temu, kiedy Cyril i mój tata zabrali nas na mecz. Co za ironia, że skończyło się na tym, że graliśmy w jednej z drużyn, z którymi rywalizowali. Jest też wielokrotnie używane Nintendo z każdą wersją gry Halo, jaka kiedykolwiek powstała. Skopałem tyłek Sashy we wszystkich. Dwa razy musiał kupować nowe kontrolery po tym, jak rozwalił je w złości o ścianę. Oraz jego segregator z kolekcją kart baseballowych, włącznie z jego cenną kartą Mickey'ego Mantle'a. Pod stosem biletów na mecze i koncerty, które razem widzieliśmy - nie dlatego, że Sasha był nostalgicznym typem; po prostu miał nawyk wrzucania ich do swojej szuflady na skarpety - leży złożona kartka papieru.

Kiedy ją rozkładałam i widzę cztery linijki napisane wielkim, dzieciennym pismem, przebiega przeze mnie dreszcz. Nie widziałem tego od kilku lat. Sasha, Derek i ja napisaliśmy pakt przyjaźni w drugiej klasie, po tym, jak wkurzyłem się na Saszę, że skłamał o wizycie u lekarza, żeby móc

bawić się z Derekiem. Nie rozmawialiśmy ze sobą przez cztery dni. Wtedy to było jak wieczność. Kiedy w końcu się pogodziliśmy – dzięki interwencji naszych matek, które miały dość patrzenia, jak ich dzieci użalają się nad sobą każdego wieczoru po powrocie ze szkoły – zawarliśmy pakt.

Przyjaciele i bracia na zawsze.

Nigdy nie będziemy się okłamywać.

Wasze rzeczy są moje, a moje są wasze.

Nigdy nie zostawimy przyjaciela.

Trochę przedramatyzowane, zwłaszcza jak na trójkę siedmiolatków. Słowa rozmazują się przez łyżę, które nie spływają, ale i tak śmieję się pod nosem. Ostatnie zdanie musiało mieć coś wspólnego z komiksami G.I. Joe, na których punkcie mieliśmy obsesję. Pod spodem są trzy brązowe plamy, po tym, jak dźgnęliśmy się w palce zestawem do szycia Susan i podpisaliśmy pakt krwią.

Kartka wysuwa się z moich palców i bezgłośnie opada na podłogę. Kopię raz pudło, posuwając je na drugi koniec pokoju. A potem opadam plecami na łóżku, a gorycz przelewa się falami przez moje żyły.

Nie wiem, czy Sasha okłamał mnie w ciągu tych czternastu lat pomiędzy, ale wiem, że ponownie zrobił to trzy miesiące temu, kiedy powiedział, że może jechać. Kiedy wyciągnął dłoń po kluczyki. Zaufałem mu, a on skłamał.

A oby dwoje zostawili mnie w cholerę.

Rozlega się głośne pukanie do frontowych drzwi. Myślę nad zignorowaniem, ale prawdopodobnie to Rich. A przynajmniej mam nadzieję, że to on. Bo chociaż nie jestem na to gotowy, to jestem jeszcze mniej gotowy na jakichś niezapowiedzianych gości.

Jego widok, stojącego w progu sprawia, że powietrze ucieka z moich płuc.

– Hej. – Przygryza wargę, wyciągając w moją stronę dłoń, jakby był niepewny co do naszego ponownego spotkania tak bardzo, jak ja jestem.

Gdy unoszę prawą rękę, potrząsa nią przez jedną, dwie, trzy sekundy, dopóki nie widzę podjętej decyzji w jego oczach, po której zbliża się i mnie obejmuje.

– Dobrze cię znowu widzieć, stary – mówi, a jego głos nagle brzmi na zachrypnięty.

Przełykam gulę emocji, które we mnie uderzają i po prostu kiwam głową, odsuwając się, żeby zrobić mu miejsce do przejścia.

Ale nie wchodzi, a jego wzrok przesuwa się wzdłuż długiego korytarza. Był tutaj wcześniej z Derekiem. Dla niego też to musi być dziwne.

– A może skoczmy się napić?

Biorę swoje klucze z wieszaka przy drzwiach i wychodzę za nim bez słowa.

Potrzeba mu pięć kufli piwa, żeby wspomnieć o wypadku po tym, jak paplał o wszystkich za wyjątkiem właśnie tego.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że to się stało. Nie miałem pojęcia, że wyszliście. Gdybym wiedział, to bym was powstrzymał. Przysięgam.

Wyobrażam sobie, że to standardowa odpowiedź każdego, kto zorganizował imprezę, z której gość wychodzi pijany i zabija pięć osób, w tym siebie. Mógłbym odpowiedzieć coś w stylu „gdybym wiedział, że Sasha był pijany, to nie dałbym mu kluczyków”, ale to brzmi jak wymówka. A nie ma wymówek. Więc kiwam tylko głową i biorę kolejny, długi łyk piwa. Myślałem, że zwymiotuję po pierwszym, ale po przełknięciu reszta poszła już zbyt łatwo.

– Tęsknię za nim. Dobrze się bawiłem z Derekiem, kiedy dorastaliśmy. Nawet jeśli był dwa lata młodszy ode mnie. – Niebieskie oczy Richa skanują tłum młodych ludzi, a ci, zgaduję, są głównie studentami, którzy postanowili zostać i chodzić na letnie zajęcia. Rozpoznaję jedną czy dwie twarze, ale unikam kontaktu wzrokowego. Sądząc po ich częstych spojrzeniach, wiedzą, kim jestem. – Przez to wybuchła burza w naszej rodzinie. Między mamą i ciotką panuje głucha cisza już od kilku miesięcy. Chciała mnie pozwać za to, że zorganizowałem imprezę. Na szczęście mój wujek wybił jej to z głowy. Wiem, że po prostu jest zła i cierpi. Pozwanie mnie niczego nie zmieni.

– Taa, to szalone, co niektórzy ludzie mogą robić, gdy przeżywają żałobę. – Chociaż moi rodzice za wiele nie powiedzieli, to wiem, że rodzice Billy’ego, chłopaka Kacey, nadal chcą pozwać mojego tatę o większą kwotę pieniędzy, a tata chce uniknąć tego bałaganu i zgodzić się na ugode.

Rich macha na kelnerkę, by przyniosła mu kolejnego drinka, po czym odstawia swoje piwo na blat.

– Jak się mają rodzice Sashy? I twoja dziewczyna?

- Chyba dobrze, idą naprzód. Madison i ja... zrobiliśmy sobie przerwę.
- Kiedy zobaczyłem, jak Madison pakuje walizkę do jej samochodu, poszedłem się pożegnać. Wpadła mi w ramiona i znowu się załamała.

- Cholera. I jak ty się z tym czujesz? Z tym *wszystkim*? - Czuję na sobie jego wzrok, a sam kołyszę piwem w szklance, patrząc, jak rozbija się o jej brzegi.

- No wiesz. - Nie. Nie wie. Nikt tak naprawdę nie wie.

- Cóż, jedną rzecz mogę ci powiedzieć na pewno; to była cholerna pobudka dla wielu osób. Gazety rozpisywały się o tej historii. Hej, a co się stało z tamtą dziewczyną? Tą, która przeżyła?

Wiercę się na swoim miejscu, nagle czując się niekomfortowo.

- Żyje, z tego, co ostatnio słyszałem, ale wiem tylko tyle. Nie pozwala nikomu się do siebie zbliżać.

- Taa... to musiało nieźle poprzestawiać jej w głowie. Widziałem zdjęcia samochodu. - Odchrząka głośno.

Znowu wracamy do nic nie znaczącej gadki, kiedy pojawia się kilku starych znajomych Richa. Faceci, których nie znam i którzy, na szczęście, nie znają mnie. Są uzależnieni od piłki nożnej. Rozmawiamy o zbliżającym się sezonie NFL i o jakichś głupich transakcjach zawartych przez franczyzę. Nic ważnego. Głównie siedzę i słucham, niezainteresowany braniem udziału w dyskusji, ale jeszcze mniej siedzeniem samemu w mieszkaniu. Choć zaczynam mieć nadzieję, że Rich dziś się tu prześpi, widząc, że idzie ze mną łeb w łeb z piwem.

Zabawne. Wcześniej nie zauważałem tego rodzaju rzeczy.

Kiedy dziewczyna, z którą Rich się spotyka, pojawia się z koleżankami, rzucam im wymuszony uśmiech i przesuwam się na

siedzeniu, żeby zrobić im miejsce. Biorąc pod uwagę ich zaraźliwy chichot i sposób, w jaki jedna z nich właśnie pochłania twarz Richa, powiedziałbym, że wypili już dziś gdzieś indziej kilka drinków.

– Hej, jestem Monika. – Pomalowane świeżym lakierem paznokcie przyciągają mój wzrok, gdy wyciąga dłoń w moją stronę.

– Cole.

Trzepocze rzęsami, sprawdzając brzmienie mojego imienia na języku.

– Cole... podoba mi się to imię.

Tobie jednej z nas dwóch.

– Chodzisz tutaj do szkoły?

– Czy chodzi tu do szkoły? Nie wiesz, że to Cole Reynolds, silny skrzydłowy w drużynie Spartan? – wykrzykuje Rich. Jego dziewczyna siedzi teraz na jego kolanach.

Już nie.

– Przestań. – Udaje mi się zdobyć na półśmiech i rzucam w niego podkładką pod kufel. Ale jednocześnie wstrzymuję oddech, czekając, aż dziewczyna rozpozna moje nazwisko i wspomni o wypadku.

Po kilku długich sekundach, kiedy nie robi nic poza chichotaniem, wypuszczam powietrze z płuc i relaksuję się, opierając o tył naszej budki. Może właśnie tego potrzebuję. Kilku piw, wieczoru ze znajomymi, zabawnej rozmowy. Może ta noc będzie tą, w której rozpocznę życie bez moich najlepszych przyjaciół.

Co ja, kurwa, zrobiłem?

Byłem pijany, ale pamiętam każdy krok, który doprowadził do tego, że ta blondynka leży w moim łóżku, zaplątana w moją pościel, przez co ja leżę obok całkowicie nagi i nienakryty. Nie dlatego, że uważałem, iż była szczególnie atrakcyjna. Po prostu nie chciałem być sam, a ona była obok.

I bardziej niż chętna.

Nie sądzę, żebym chociaż był dla niej miły. Jak ona, do cholery, ma na imię?

Wyglądam przez okno i gapię się na zachmurzone niebo, starając się stłumić tępy ból pomiędzy oczami na myśl o rudowłosej dziewczynie. Zastanawiam się, jak się ma.

Zastanawiam się, czy czuje się tak samo, jak ja w tej chwili; jakby nigdy nie mogła się uwolnić od tej nocy. Musi się tak czuć. Jest jedyną osobą, która może się czuć tak samo.

Może nadszedł czas, żeby się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chociaż Grand Rapids jest duże – prawie dwa razy większe od Lansing – to nigdy nie miałem powodu, żeby odwiedzić to miasto. Kiedy stoję przed jej drzwiami, ściskając bukiet kwiatów spoconymi, trzęsącymi się rękami, stwierdzam, że nadal nie mam znaczącego powodu.

Nie było trudno odnaleźć Kacey Cleary. Zajęło mi to wizyty w dwóch szpitalach i kilka pytań, ale w końcu zdobyłem numer jej pokoju. Nie jestem pewny, co to mówi o naszym prawie do prywatności, ale w tej chwili czuję wdzięczność, że tamta pielęgniarka nie wydawała się go przestrzegać.

Stawiając ostrożne kroki, zamykam dystans między mną a drzwiami, czując w gardle unoszącą się żółć. Nigdy nie nienawidziłem szpitali. Teraz ich sterylny zapach mnie przytłacza, a każde przejeżdżające obok łóżko na kółkach sprawia, że cały się spinam.

Mam ochotę się odwrócić i zwać. Co zobaczę za tą szklaną szybą? Trzy miesiące po wypadku ona nadal tutaj przebywa. Może w ogóle wstać? Czy jej ciało jest uwięzione w gipsie i metalowym ustrojstwie?

Jej atletyczna figura sprzed wypadku, jakkolwiek wyglądała, teraz musiała pójść na marne. Czy zostały z niej tylko skóra i kości? Tyle mięśni, żeby funkcjonować i nic poza tym?

I ta jej ładna twarz... czy jest teraz zdeformowana?

Jestem trzy metry dalej, a wciąż nie mogę się zmusić do bliższego podejścia do głębszego, brutalniejszego poziomu rzeczywistości, któremu jeszcze nie stawiałem czoła. Co w ogóle jej powiem?

Cześć, jestem Cole. To ja byłem facetem, który nie mógł wytrzymać bez picia przez jeden wieczór i to ja nie dotrzymałem słowa, że odwozę przyjaciół do domu.

Cześć, to ja jestem tym idiotą, który dał kierowcy kluczyki, przez co on zabił tych, których kochasz.

Cześć. Jesteś tutaj przeze mnie.

Najprawdopodobniej wejdę tylko do jej pokoju i tam stanę, gapiąc się na nią jak idiota, bo nie ma nic, co mógłbym powiedzieć, a co mogłoby polepszyć sprawę. A w rzeczywistości pewnie tylko sprawię, że jej dzień będzie jeszcze gorszy. Na pewno nie dostanę tego, po co tutaj przyszedłem. A po co w ogóle tu przyjechałem? Myślałem, że to w jakiś sposób złagodzi poczucie winy?

Gdy drzwi się nagle otwierają, żołądek opada mi do stóp. Z sali wychodzi dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Od razu ją rozpoznaję. To młodsza siostra Kacey, Olivia, do której wszyscy zwracają się „Livie”.

Płacze.

Musi tylko unieść wzrok, żeby mnie zobaczyć. Rozpozna mnie?

Ale na mnie nie patrzy. Ociera tylko łzy zewnętrzną stroną dłoni i mnie omija, przez co jeszcze bardziej obawiam się tego, co jest za drzwiami.

– Przepraszam, mogę w czymś pomóc?

Podskakuję na dźwięk czyjegoś głosu, a kiedy się odwracam, widzę, że obok mnie stoi pielęgniarka z brązowymi włosami.

– Tak, może pani postawić je dla mnie w pokoju Kacey Cleary, proszę?

– Wpycham bukiet w jej ręce, zmuszając ją do tego, by go wzięła.

A potem się stamtąd wynoszę, ruszając w przeciwnym kierunku niż Livie i wszystko, co ma związek ze stawianiem czoła temu koszmarowi.

Przede mną jest około sto beżowych foteli. Biorąc pod uwagę to, jak duży jest MSU¹⁴ – z ponad czterdziestoma siedmioma tysiącami studentów – większość moich zajęć programowych odbywa się w tym samym miejscu. To będą moje siódme zajęcia w tej sali wykładowej. Ale po raz pierwszy będę w tylnym rzędzie.

I to na pewno pierwszy raz, kiedy świadomie unikam kontaktu wzrokowego.

Czuję, że mnie obserwują. Od zerknięć ponad ramieniem do otwartego wgapienia się, niezliczone pary oczu pełne wszystkiego, od ciekawości po osąd, palą moją skórę.

Wszyscy dokładnie wiedzą, kim jestem. Nasze zajęcia nie są tak duże, a zważywszy na to, że spędziłem ostatnie trzy lata z większością tych ludzi i grałem w drużynie Spartan, moje nazwisko jest znane. Moja twarz też, jeśli ma się na uwadze komentarze, które przez lata otrzymywałem od żeńskiej części populacji.

Ale w tej chwili nie patrzą na mnie z tych powodów, więc trzymam spuszczoną głowę.

Wyczuwam jej perfumy na sekundę przed tym, jak wślizguje się na miejsce obok mnie.

– Cześć – wypowiada to dość szorstko, bez cienia szczerości.

Z westchnieniem obracam się w stronę brunetki.

– Hej. – Rozpoznaję ją, ale nie mam pojęcia, jak ma na imię.

¹⁴Michigan State University – Uniwersytet stanu Michigan

Patrząc na to, jak zaciśnięte są jej szczęki, nie wygląda tak, jakby była tu, żeby się przedstawić. Wygląda tak, jakby była na misji.

– Znałam pana Cleary’ego. Był jednym z najmiłszych, najzabawniejszych nauczycieli, jacy kiedykolwiek mnie uczyli.

Urywa, jakby czekając na to, jak zareaguję na ten werbalny nóż w mój brzuch. Niby co mam, kurwa, powiedzieć? Zwłaszcza z widownią dookoła. Nawet profesor Giles stoi przy podium, wpatrując się w tylną część sali, mimo że powinna już zacząć zajęcia.

Zaciskając zęby, wyrzucam z siebie:

– Na pewno tak było.

Otwiera usta, żeby się odezwać, ale potem się waha. *Musią* zobaczyć, że już wystarczająco mnie zraniła; że poczucie winy nieustannie wylewa się ze mnie falami.

– Nie zasługiwał na to, co ty i twoi przyjaciele mu zrobiliście. Nikt z nich nie zasługiwał. – I z tym wstaje i zmierza ku przodowi sali, z wysoko uniesionym podbródkiem po tym, jak powiedziała swoje. Zastanawiam się, czy planowała tę konfrontację całe lato, czy może to był tylko spontaniczny wybuch.

– Witam z powrotem! – Woła profesor Giles, przyciągając do siebie uwagę wszystkich studentów.

Oprócz mnie. Szybko się wyłączam i przestaję jej słuchać, spuszczaając wzrok na rozmazane słowa w podręczniku. Dlaczego, kurwa, ja w ogóle tutaj jestem? Kiedy wybierałem Historię Sztuki i Kulturę Wizualną jako swój obszar badań, wiedziałem, że to tylko odskocznia. Prawdę mówiąc, mogłem pominąć studia i przejść prosto do jednorocznego programu w szkole projektującej. Pracowałbym już na pełen etat w firmie mamy. Ale

chciałem doświadczyć pełnego doświadczenia studiów – imprez, balu, kawałku papieru, który powinien być obramowany złotem, jeśli wzięłoby się pod uwagę, ile kosztuje nas jego zdobycie. Podobnie było z Sashą i Derekiem. Nasi rodzice nie byli nawet w najmniejszym calu zaskoczeni, kiedy składaliśmy podania na dokładnie te same uniwersytety, a decyzję, gdzie pójść, podejmowaliśmy na podstawie listy uniwersytetów, na które dostaliśmy się wszyscy trzej.

Teraz miałem to wszystko gdzieś.

Bo *wszystko* się zmieniło. Nie czuję się już dobrze, będąc tutaj. Jest tak, jakbym próbował cofnąć się do przeszłości, a drzwi byłyby zamknięte na cztery spusty, a klucz zostałby wyrzucony.

Zamykam podręcznik i wychodzę, uciekając przed oskarżycielskimi spojrzeniami.

– Jak poszło? – pyta Rich z kanapy. Jedną nogę na opartą o stolik, a w rękę trzyma piwo.

Rzucam mój pusty plecak na podłogę. Oddałem moje podręczniki. Wszystkie.

– Kończę z tym.

Siada prosto, marszcząc brwi.

– To znaczy?

– To znaczy, że to rzucam. – Podjęcie decyzji zajęło mi jeszcze jedno zajęcia, na których gapiłem się na strony i nie słyszałem ani jednego słowa.

Chociaż nikt inny nie zdecydował się na uderzenie w moje sumienie, to czułem na sobie spojrzenia. Już wystarczająco jest mi żyć we własnej skórze. Tego nie zniosę.

Opadam na kanapę obok niego, i nawet jeśli jest niewygodna, to wzdycham z ulgą.

– Myślisz, że znajdziesz współlokatora, żeby płacił moją połowę czynszu?

Przez długi czas Rich wpatruje się intensywnie w mój profil, ale to ignoruję, wbijając wzrok w telewizor i wpatrując się w pustkę.

– Tak, pewnie tak. – Kolejny długi moment ciszy. – Chcesz piwo? Lodówka jest w pełni zaopatrzona.

– Nope. – Skończyłem z alkoholem.

Z tą szkołą.

Ze wszystkim.

– Hej! Możesz nam to podać? – Chłopak wskazuje na krzaki znajdujące się na końcu podjazdu moich rodziców, gdzie wpadł ich hokejowy krążek.

Wyciągam go z pomiędzy gałęzi i rzucam na drogę. On i inny dzieciak wznawiają grę, podając sobie krążek, nawet nie rzucając w moją stronę podziękowań.

Małe gnojki. Uśmiecham się pod nosem. Są dobrzy. Ale nie tak dobrzy, jacy byliśmy ja i Sasha. Frontowe drzwi Danielsów się otwierają i w progu pojawia się kobieta z brązowymi włosami.

- Chłopcy! Obiad. - Oczywiście ją ignorują, zbyt skupieni na krążku.

Przesuwając pasek mojej torby na ramieniu, idę ścieżką złożoną z płyt chodnikowych w kierunku nieoświetlonego ganku. Nasz dom jest skromny. Moi rodzice raz rozmawiali o przeprowadzce, do bogatszego sąsiedztwa w Rochester o dobre dwadzieścia minut drogi do domu Sashy. Wywołałem taką kłótnię, że już nigdy o tym nie wspomnieli.

Znajduję rodziców siedzących przy kuchennym stole - tata ze szklanką pełną bursztynowego płynu, mama z twarzą pełną rezygnacji. To, o czym przed chwilą rozmawiali, wywołało napięcie tak gęste, że czuję się, jakbym szedł przez mgłę. Stawiam dziesięć dolców, że chodziło o mnie.

- Cole? - Tata marszczy brwi. - Co ty tu robisz?

Patrzę na mamę, kiedy mówię:

- Musiałem wrócić do domu.

Kiwa powoli głową. Zastanawiam się, czy się tego spodziewała.

- Nie możesz tak po prostu odejść! - Krzyk mojego taty jest tak rzadkim zjawiskiem, że zastanawiam się, czy przekroczył już swoją dzienną dawkę jednej szklanki szkockiej.

- Nie mogę tego robić.

- Został ci tylko jeden rok!

Tak, jeden nieznośnie długi rok. Znam siebie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie wstałbym na zajęcia jutro, pojutrze ani popojutrze.

- A potem co? To cholerna kartka papieru.

- Kartka, za którą my zapłaciliśmy! - Uderza pięścią w stół.

- Carter! - Teraz mama też krzyczy.

Wiedziałem, że istniały duże szanse, że tak to właśnie będzie wyglądać, a mimo to nie mogę tego znieść. Wybiegam z kuchni i ruszam w stronę swojego pokoju, rzucając torbę na podłogę i wskakując na łóżko, a zimna poduszka przy mojej twarzy od razu przynosi ulgę.

Kilka minut później drzwi cicho się otwierają i zamykają, i wiem bez patrzenia, że to moja mama.

– Muszę tu po prostu zostać przez jakiś czas, zanim nie stanę na nogi.

– Rozumiem. – Poczyszczającym gestem kładzie dłoń na tyle mojej głowy.

– Możesz dać mi kilka projektów? Coś, nad czym mogę pracować z domu. Sam.

– Tak. Dobrze.

– Dzięki, mamó – urywam. – O czym rozmawialiście z tatą?

Nie odpowiada od razu i mogę wyczuć, że ostrożnie dobiera słowa.

– Potrzebują go w biurze na Manhattanie. Będzie szukał czegoś do wynajęcia, bo często tam będzie.

– Myślałem, że powiedział, że nigdy tego nie zrobi. – Jego partnerzy od lat starali się go namówić na przeprowadzkę, ale to było zbyt wielkie ryzyko dla agencji mamy, a zostanie z rodziną zawsze było niepodważalną zasadą dla Cartera Reynoldsa.

Widocznie pewne rzeczy się zmieniły.

ROZDZIAŁ ÓSMY

31 grudnia 2008r.

- Hej, stary! Fajnie, że przyszedłeś. - Unoszę dłoń w samą porę, żeby zdążyć przybić piątkę z z Fitzem. - Chcesz piwo?

- Nie, dzięki. Nie mogę długo zostać. - Przesuwam wzrokiem po tłumie znajomych twarzy z liceum. Wielu z nich widziałem w kwietniu na pogrzebie. To było osiem miesięcy temu. Wszyscy wyglądają to samo. Nie sądzę, żeby z moją brodą zakrywającą pół twarzy i przynajmniej dziesięcioma kilogramami mięśni mniej, mogli powiedzieć to samo o mnie.

Nadal siedziałbym w bokserkach i koszulce, gdyby moja mama nie wpadła na mamę Fitz'a w supermarkecie i ta nie powiedziała jej o imprezie sylwestrowej, którą urządzał jej syn. Mama namówiła mnie na przyjęcie, wpędzając w poczucie winy.

Zgodziłem się, z planem, by tylko pokazać swoją twarz i zwiąć.

- Więc... co porabiałeś? Słyszałem, że wróciłeś do sąsiedztwa. - Nie umyka mi fakt, jak przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Prawdopodobnie czuje się tak samo niekomfortowo jak ja w tej chwili.

- Uch... no wiesz. Pracowałem i takie tam. - Jest tak, jakbym zapomniał, jak normalnie rozmawiać. Po prostu już nie wiem, co mam mówić do *kogokolwiek*. To dlatego rzadko wychodzę z domu. Pokój stał się moją kryjówką. To dziwne; zawsze byłem ekstrawertykiem i rzadko bywałem sam. Ale teraz mogę szczerze powiedzieć, że zacząłem doceniać

spokój płynący z samotności. Przynajmniej mogę osądzać samego siebie w prywatności.

– No dobra, cóż... – Biedny Fitz chce ode mnie uciec. – Mamy hamburgery na grillu i stół do hokeja w salonie. Obsłuż się i weź sobie coś z lodówki, gdybyś zmienił zdanie.

Kolejny uścisk dłoni i Fitz znika, idąc szybko w przeciwnym kierunku od miejsca, w którym stoję ja.

Zerkam na zegarek, dając sobie pięć minut, zanim frontowe drzwi zobaczą moje plecy. Pięć długich minut do zabicia. Na szczęście dom jest zatłoczony, a muzyka głośna. Łatwo przeciskać się przez tłum, z uśmiechem kiwając głową, bez bycia zmuszonym do właściwej rozmowy z kimś.

Więc właśnie to robię, przechodząc od pomieszczenia do pomieszczenia. To duży dom, a rodzice Fitz'a nigdy nie narzekali na to, że robił tu imprezy. Nawet w liceum wyjeżdżali do Nowego Jorku, pięć godzin drogi stąd, i pozwalali mu robić co chciał, jeśli tylko dom był w nienagannym stanie następnego dnia, gdy wracali.

Przechodzę przez kuchnię. I się uśmiecham, przypominając sobie jak z Sashą graliśmy w piwnego ping-ponga na tym samym stole w rogu. Wygrał, oczywiście, ale to było...

Kurwa. Po prostu, kurwa, przestań, Cole.

Przestań o nim myśleć.

Sasha nie żyje.

Zaciskając zęby, idę dalej, do salonu, gdzie w telewizji leci mecz Red Wingsów.

A Madison siedzi na kolanach Henry'ego.

Przestała pisać smsy w październiku po tym, jak zignorowałem niezliczone próby nawiązania kontaktu i wysłałem pojedynczą wiadomość, prosząc ją, żeby przestała. Stwierdziłem, że najlepiej będzie pozwolić jej ranom się wyleczyć, i to beze mnie. Widocznie tak się stało. Madison, którą znam, nie siedziałaby na kolanach jakiegoś faceta, jeśli ten naprawdę by się jej nie podobał.

Nie zauważyła mnie od razu, co daje mi chwilę na obserwowanie jej przez chwilę, jak pochyla się w jego stronę, a na jej ustach widać uroczy uśmiech, gdy on coś szepce jej do ucha. Jej głowa opada do tyłu i wyrywa jej się ten głośny śmiech, który tak uwielbiałem, a który nie pasuje do tak małego ciała.

Wykraczam już poza czucie bólu przez stratę, bo inaczej to na pewno byłoby jak kopniak w brzuch. Zamiast tego lekko się uśmiecham, co jest dla mnie teraz tak obcym zjawiskiem. Ruszyła dalej. Dokładnie tak, jak jej powiedziałem, by zrobiła.

Chciałbym móc utrzymać ten uśmiech jeszcze chwilę dłużej, ale kiedy te oczy koloru whisky – oczy Sashy – nagle na mnie lądują, a jej twarz blednie, kąci moich ust opadają.

Jestem pewny, że do tego czasu minęło już pięć minut. A jeśli nie? Już się tym nie przejmuję.

Wychodzę z domu i jestem w połowie chodnika, kiedy słyszę, jak woła mnie po imieniu. Biegnie w skarpetkach i obejmuje się ramionami, bo jest strasznie zimno.

– Nie wiedziałam, że tu będziesz. Ja... przepraszam.

Przepraszam mnie. To prawie śmiechu warte.

– Nie masz za co przepraszać.

Przygląda się mojej twarzy przez długi moment.

– Ale i tak.

Próbuję jakoś rozluźnić atmosferę:

– Zawsze podobałaś się Henry’emu.

Rzuca mi zmieszany uśmiech.

– Tak, to samo mi powiedział. Nie miałam pojęcia. – Oczywiście, że nie miała. Madison nie ma pojęcia, jaka jest piękna i słodka. – Jak się masz? Moja mama mówiła, że wprowadziłeś się z powrotem do rodziców?

– Yup.

Uśmiech znika z jej twarzy, gdy ciężko przełyka ślinę i pyta cicho smutnym tonem:

– Jak mogłeś mnie tak po prostu od siebie odciąć?

– Nie chciałem, żebyś trzymała się nadziei.

Kiwa głową, zwieszając ją, dopóki może się opanować wystarczająco, by powstrzymać łzy grożące spłynięciem.

– Cóż... Wszystkiego najlepszego. Chciałam wstąpić i dać ci kartkę albo coś, ale... – urywa. Madison świętowała moje urodziny odkąd tylko pamiętam. Najpierw jako przyjaciółka, a potem ktoś więcej.

Teraz jako ktoś, kogo utraciłem.

Nigdy nie będę już tym facetem, a to, co mieliśmy, naprawdę już odeszło. Prosty fakt, że jest w stanie ruszyć dalej, tworzy między nami nieprzekraczalną przepaść, a więź, która kiedyś między nami była, z każdym dniem staje się coraz bardziej odległa.

– Szczęśliwego nowego roku, Mads. – Odwracam się i ruszam chodnikiem, walcząc o oddech, czując ciężar w płucach.

Nagle to staje się bardzo oczywiste. Facet, którego Madison kochała, umarł w okropnym wypadku samochodowym w kwietniu.

Zasługuje, by być szczęśliwą, a ze mną nigdy by już nie była.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Luty 2009 r.

Budzę się na dźwięk podniesionego głosu mojego taty, dobiegającego z kuchni.

– Dlaczego dowiaduję się o tym z cholерnej gazety?!

Wiedziałem, że tak się stanie.

Wyobrażam sobie, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami, z kubkiem parującej kawy przy stole pokrytym różnymi papierami. To tak zawsze spędzał swoje sobotnie poranki. Cieszę się, że chociaż ta jedna rzecz się nie zmieniła.

Zobaczył zawiadomienie, do którego publikacji w lokalnej gazecie zmusił mnie sąd po tym, jak złożyłem petycję o zmianę imienia i nazwiska. Bo teraz, kiedy zdałem sobie sprawę, że Cole Reynolds nie żyje, nie ma potrzeby, żeby ciągle za niego odpowiadać.

Wstaję z łóżka i w drodze do drzwi wciągam na siebie spodnie. Chyba mogłem go wcześniej ostrzec. Ale jaki w tym sens? Wiedziałem, że by się na to nie zgodził. Mama wie. Zajęło mi to mniej przekonywania niż się spodziewałem. Może dlatego, że używam swojego drugiego imienia i jej panieńskiego nazwiska. A może dlatego, że nie wie, jak się ze mną obchodzić.

Nie słyszę odpowiedzi mamy, ale cokolwiek powiedziała, tata nie jest z tego zadowolony.

– Wspieranie go w tym mu nie pomoże, Bonnie! Musi sobie poradzić z tym, co się stało i żyć dalej! – wrzeszczy tata, gdy wychodzę za rogu.

– Robię to. Znaczący, radzę sobie.

Oboje się zatrzymują i na mnie spoglądają. Tata ma na sobie spodnie od garnituru i koszulę, jakby się gdzieś wybierał. Nie był w domu od kilku tygodni, a mimo to widzę w kącie jego torby. Jest gotowy znowu wyjechać. Zaczynam się zastanawiać, czy to bardziej chodzi o ekspansję firmy czy o fragmenty rozmów, które podsłuchałem, komentarze o pozwie od rodziny tego chłopaka, Billy'ego i o tym, że partnerzy nie są zadowoleni z tych wszystkich godzin na billingach, z których są rozliczani oraz o tym, jak są zmartwieni, że ta sprawa będzie wyglądać źle dla firmy, jeśli klienci by się do tego przyczepili.

Nie wiem, ile w tym prawdy, ale już sama możliwość mi ciąży.

– I robisz to, stając się *Trentem Emersonem*? – Tata rzuca gazetę na podłogę.

– Pozwalając odejść temu, kim kiedyś byłem. – Szybko podnoszę ją z ziemi i składam, po czym wkładam sobie pod pachę. Dowód dla sądu, by mogli sfinalizować moją petycję.

Prawie nie zauważam potrząśnięcia głową, takie jest subtelne.

– Co mówi na ten temat twój terapeuta?

Przesuwam językiem po zębach, zastanawiając się, jak chcę na to odpowiedzieć. Czy teraz jest dobry moment na to, żeby powiedzieć mu, że przestałem tam chodzić w październiku, po czterech sesjach – każda za dwie stówy – w czasie których facet pytał mnie, jak się czuję, ja mówiłem, że cholernie winny i poza tym do niczego więcej nie dochodziliśmy?

Kolejna rzecz, o której wie moja mama, a o której tata nie ma pojęcia.

Ale jest wystarczająco mądry, by samemu się tego domyśleć, przynajmniej tak się wydaje. Wyrzuca ręce w powietrze w geście złości.

– Już nie wiem, co mam robić, Cole. Proszę! Powiedz mi, jak możemy ci pomóc. Wszyscy inni jakoś składają swoje życia do kupy, a mimo to ty w ogóle nie wydajesz się być zainteresowany tym, by sobie pomóc. – Jego ton, słowa, sposób, w jaki na mnie patrzy; to wszystko wślizguje się pod moją skórę.

– Nie będę rozmawiał o tej decyzji. Jest moja i to ja ją podjąłem.

– Ale to szaleństwo! – Zdezorientowanie w jego oczach wygląda na szczere. – Nie możesz ruszyć dalej, robiąc takie coś, a *musisz* ruszyć naprzód!

– Nie zasługuję na to! – wrzeszczę. Tata krzywi się, zaskoczony. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak na niego krzyknąłem, jeśli w ogóle, ale nie zamierzam teraz przestać. Nie rozumie tego. Nikt nie rozumie, a muszą. – Dlaczego ja mam iść dalej? Sasha i Derek nie mogą! Kacey Cleary też! – Ostatnio częściej myślę o niej niż o Sashy i Dereku. Nie mogę przestać. Codziennie, od momentu, gdy otworzę oczu do chwili, gdy zasnę, czuję, jak jej obecność wisi nade mną jak cień nad moją świadomością. W tym wszystkim była całkowicie niewinna.

Prawdopodobnie nie pomaga to, że zapisałem na telefonie jej zdjęcie i spoglądam na nie przynajmniej dziesięć razy dziennie – za każdym razem, gdy wyobrażam sobie nowy sposób, w jaki mogła zostać zdeformowana i desperacko chcę wyrzucić to wyobrażenie ze swoich myśli, patrzę na jej zdjęcie. Na jej uśmiech.

Tyle że to błędne koło, bo potem sobie przypominam, że ten uśmiech z pewnością został wymazany. Przeze mnie. A nie jestem wystarczająco odważny, by stawić jej czoła w szpitalu, żeby przyznać się do części swojej

winy. Żeby powiedzieć, jak cholernie jest mi przykro. Że zrobiłbym wszystko, by to naprawić.

Nie pamiętam już, jak to jest nie czuć tej toksycznej mikstury – bólu, smutku i poczucia winy zzerających moje wnętrze, sprawiając, że czuję się pusty i żałuję, że nie mogę po prostu jednej nocy położyć głowy na poduszkę i już nigdy nie musieć jej podnosić.

– Kacey Cleary niedługo zostanie wypuszczona... – zaczyna mówić tata, ale mu przerywa.

– Do kogo? Nikogo nie ma! Wszyscy nie żyją, przeze mnie! – Gazeta, którą dopiero co podniosłem, leci przez pomieszczenie, uderzając w szklankę na blacie i posyła ją na ziemię, gdzie ta rozbija się na mnóstwo kawałków. – Więc niby jak mam tak po prostu ruszyć dalej? Proszę, wyjaśnij mi to, tato! Jak? Mam po prostu dokończyć rok, grać w piłkę, śmiać się i żyć? Nie zasługuję, żeby żyć? Nie rozumiecie tego? – Słowa wypadają z moich ust; więcej, niż powiedziałem przez prawie rok; więcej, niż to, do czego przyznałem się komukolwiek.

Tata wygląda, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Gniew i frustracja, które wykrzywiały jego twarz, znikają i zostawiają tylko zmęczonego mężczyznę, opadającego na krzesło, jakby nogi nie mogły już utrzymać jego wagi. Zupełnie jakby jego nadzieja dla jedynego syna upadła na podłogę i leży wśród rozbitego szkła.

Zalega między nami nerwowa cisza.

– Masz rację, Sasha i Derek nie mogą – mówi mama drżącym tonem, podchodząc bliżej i chwytając mnie za ręce. – Ale ty możesz i musisz to zrobić. Proszę. Dla nas. Dla wszystkich, którzy cię kochają. Dla siebie. – W jej oczach wzbierają się łzy. Nigdy nie widziałem, żeby mama płakała tyle, co przez ostatnich dziesięć miesięcy. Cholera, sam nigdy tyle nie płakałem co

przez ten czas. A widok moich rodziców w takim stanie, *znowu*; jakby chwyтали się ostatniej nici trzymającej ich razem, jakby mieli się rozpaść; sprawia, że opuszcza mnie jakakolwiek chęć walki, jaka we mnie została. – Kochamy cię, Cole. I tęsknimy za tobą. *Proszę*. – Jej błaganie przechodzi w szept. – Potrzebuję mojego syna z powrotem.

Spuszczam głowę, żeby uniknąć patrzenia na jej ból. Zraniłem tak wiele osób i *nadal* to robię. Sprawiam własnym rodzicom tyle bólu. Zdaję sobie z tego sprawę za każdym razem, gdy spojrzę im w oczy.

– Tak, mamó. Postaram się.

Jeśli to jest coś warte.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sierpień 2009 r.

- Jeszcze jakieś kartony? - pyta tata.

- Zajmę się tym. Spotkamy się na zewnątrz - odkrzykuje, wgapiając się w żółty folder.

Powiniennem był wiedzieć. Tata jest bystrym prawnikiem i oczywiście, że będzie miał teczkę z informacjami o rodzinie Cleary. Notatki o ich wieku, o szkołach, o dniu, w którym wypuszczono Kacey z ośrodka rehabilitacyjnego. Adres jej ciotki i wujka, u których teraz mieszka razem z siostrą. Gdzie zostali pochowani ich rodzice.

Jej rachunki medyczne.

Tak *wiele* rachunków, którymi najwyraźniej zajmują się moi rodzice.

Rodzice poszli na ugodę w sądzie z rodzicami Billy'ego, ale nie wiem, ile wynosi kwota, bo żadne z nich mi tego nie powie. Ale wątpię, że są jeszcze w stanie kupić ten dom na Cape Cod i to sprawia, że zżera mnie poczucie winy.

To całkowity fuks, że natknąłem się na tą informację. Otworzyłem karton z intencją podzielenia dokumentów do dwóch osobnych pudeł, bo wiedziałem, że nie było mowy, żeby tata był w stanie to unieść. Nazwisko Cleary leżało na wierzchu i na mnie czekało.

Sprawdzam nad ramieniem, żeby upewnić się, że nie stoi w progu i mnie nie obserwuje. Żałuję, że nie mam czasu, żeby zrobić sobie kopie

wszystkich kartek; ale nie mam, więc korzystam z następnej najlepszej opcji. Wyciągam telefon i robię zdjęcia najważniejszych informacji.

Tata czeka na mnie obok swojego zastępczego Suburbana, którego bagażnik jest w pełni zapakowany. Głównie materiałami biurowymi i sentymentalnym przedmiotami. Większość jego rzeczy jest już w Nowym Jorku – w bliźniaczym domu w Astorii, który wynajmuje od prawie roku.

Teraz to miejsce będzie nazywał domem.

Licealna para, która zdobyła kiedyś najwięcej głosów dotyczących prawdopodobieństwa tego, kto się ze sobą zestarzeje, zdecydowała, że potrzebuje czasu i przestrzeni, by odpocząć od siebie i od życia, które kiedyś pielęgowali.

Nadal nie wyciągnąłem z żadnego z nich bardziej precyzyjnego powodu dlaczego. Co sprawia, że jestem prawie pewnym, że wiem, co jest przyczyną rozstania.

Spoglądam na bagażnik.

– Na pewno nie potrzebujesz więcej pomocy?

Tata ściska mój biceps – moje ramiona są teraz większe i silniejsze niż kiedykolwiek podczas grania w piłkę na studiach, dzięki tym wszystkim godzinom spędzonym na siłowni.

– Może i jestem stary, ale poradzę sobie z kilkoma kartonami książek.

– Racja. – Posyłam mu półuśmiech. To jest wszystko, na co mnie stać, ale wydaje się go uszczęśliwiać, bo śmieje się pod nosem. Nasze stosunki, choć wciąż napięte, są lepsze niż były od jakiegoś czasu.

– Okej, no dobrze... trzymaj swoją mamę w ryzach. Wiem, że mówiła o wzięciu urlopu czy coś takiego. Po prostu... – Jego wzrok wędruje w stronę drzwi frontowych, gdzie Bonnie Reynolds opiera się o framugę z ustami

zaciśniętymi w cienką linię. – Zajmuj się swoimi kursami, pracą i...
przywracaniem swojego życia na właściwe tory.

Na właściwe tory.

Naprawdę wierzą, że to właśnie robię? Więc chyba udało mi się sprawić wrażenie, że takie są moje zamiary. Udało mi się stworzyć niezłą maskę, ucząc się tego, jak zmuszać się do uśmiechów i przybierać powściągliwą postawę, zamiast emocjonalnie niestabilnej. Zadaję uprzejme pytania. Sztuczka polega na tym, by zadawać takie, które zmuszą innych do mówienia. A później dalej je zadawać. W ten sposób będą myśleć, że przeprowadzacie rozmowę. To ciężkie i męczące, bo wciąż odpływam myślami.

Staralem się również sprawiać wrażenie zajętego. Zabijam swoje poranki, spędzając czas niewymagających myślenia kursach programu do projektowania, popołudnia – na mało absorbujących projektach od mamy, wieczorami chodzę na lokalną siłownię, a w nocy śpię lub myślę o rudowłosej dziewczynie, której nie mam odwagi stawić czoła, zanim wszystko powtarzam. Jeden niekończący się strumień.

Tylko dwa razy wypadłem z rytmu: pierwszy raz w dniu rocznicy wypadku. Usiadłem wtedy na cmentarzu z jedną piątą Jacka Danielsa, gadając do nagrobka Sashy; drugi raz, gdy chciałem zadowolić matkę i iść na randkę, na którą umówił mnie Fitz. Przyjaciółka jego siostry. Wystarczająco miła dziewczyna, ale myślę, że przyszła tam z wrażeniem, że mogła zmienić moje życie. Przez około cztery minuty, kiedy pieprzyłem ją na tylnym siedzeniu mojego auta, myślałem, że może by mogła. Ale potem rzeczywistość uderzyła we mnie z podwójną siłą. Od tamtej pory do niej nie dzwoniłem.

Lepiej będzie, gdy będę trzymał się prostego planu. Planu, który nie pozwala mi niczego odpuścić, ale przynajmniej daje mi coś, na czym mogę się skupić i zabijać czas. Czekaając, aż ścisk w moim żołądku i pustka w piersi znikną.

Czekaając, aż będę mógł być znowu taki jak inni i ruszyć dalej.

Cóż, no może nie wszyscy.

Czy Kacey też już ruszyła dalej?

– Zmiana scenerii może być dla ciebie dobra. Powinieneś czasem przyjechać i mnie odwiedzić, Cole.

Zaciskam zęby na dźwięk tego imienia. To jeden z powodów, dla których tak dużo czasu spędzam na siłowni. Tylko tam jestem Trentem Emersonem.

Tata musiał zobaczyć moją reakcję. Otwiera usta, ale się waha. W końcu mówi:

– Pomyśl o tym.

A potem obserwuję, jak mój tata oficjalnie odchodzi od mamy po dwudziestu pięciu latach małżeństwa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Luty 2010 r.

- No weź! Będzie zabawa. - Rich klepie mnie po plecach, kiedy wchodzimy po schodach, po których myślałem, że już nigdy nie będę szedł. Wielki dom wygląda dokładnie tak samo; kolorowe flagi przyczepione do ścian, beczki z piwem poustawiane w korytarzu, pijani pierwszoklasiści szukający kogoś do szybkiego numerku. Sasha, Derek i ja doświadczyliśmy swojej pierwszej imprezy jako studenci w tych samych ścianach. I na trawniku przed... cóż, teraz później dodał mu koloru przez zbyt wiele wypitych drinków z whisky.

- Jesteśmy na to za starzy. - Naciągam niżej daszek swojej czapki. Chociaż jest tu kilka starszych roczników i oczywiście faceci z bractwa, ja - w wieku dwudziestu dwóch lat i z solidną budową ciała - wyróżniam się.

- Nie, *ja* jestem na to za stary. Ty jesteś na granicy.

Nie mogę uwierzyć, że znowu tutaj jestem. Nie mogę uwierzyć, że śpię w swoim starym pokoju, który teraz znowu jest pusty. Czuję się, jakby jednocześnie nie minęło nic i cała wieczność; rany, który nigdy się nie zagoiły, w jakiś sposób znowu się otwierają. Ale na nową falę bólu reaguję odrętwieniem, bo nie czułem nic poza nic od prawie dwóch lat.

Rich zadzwonił do mnie dwa tygodnie temu i błagał mnie, żebym przyjechał w odwiedziny. Moja mama podsłuchiwała tę rozmowę, a potem skłaniała mnie to tego tak długo, aż się zgodziłem. Teraz rozumiem, że

powiniennem był po prostu stanowczo odmówić, ale robię praktycznie wszystko, o co poprosi mnie mama. To sprawia, że jest szczęśliwa.

Trzydzieści sekund po wejściu, a już czuję się wyczerpany. Przyzwyczailem się do samotności. Nie do setki studentów wpadających na mnie ze wszystkich stron. To coś, czego nigdy bym nie zauważył, gdybym był pijany, ale na trzeźwo cholernie mnie to irytuje. Na szczęście jestem na tyle wysoki, że widzę ponad morzem głów.

I to tak ją zauważam.

Nie ma wątpliwości, że to ona; zapamiętałem jej twarz w każdym calu. Opiera się o ścianę naprzeciwko, z ustami obejmującymi butelkę z alkoholem; jej wściekle rude włosy odznaczają się na tle białej ściany, a czarna obcisła bluzka pokazuje opalone ramiona. Nie śpieszy jej się, żeby rozstać się z butelką, wypijając jej dobrą część, zanim podaje ją komuś innemu, ocierając usta wierzchem dłoni.

Jej oczy są półprzymknięte.

Jest nawalona.

Moje serce zaczyna pędzić. Co, do cholery, robi tutaj Kacey Cleary? Z moich obliczeń wynika, że prawdopodobnie kończy teraz ostatnią klasę liceum, bo straciła przynajmniej pół roku przez to, że dochodziła do zdrowia.

Pociągam daszek czapki jeszcze niżej, choć bez wątpienia może zobaczyć dwie stopy, które się przed nią znajdują.

Cholera. Co, jeśli mnie rozpozna? Jak by zareagowała? Wie, jak się naprawdę nazywam? Jak wyglądam? Nie mogę powiedzieć, że moja twarz na pewno nie ukazała się w żadnej gazecie. Mogłaby wpisać w Google moje nazwisko i znaleźć pełno ujęć z meczy. Na większości z nich mam kask, ale

jeśli by wystarczająco długo poszukać, to znalazłoby się takie, na którym widać twarz.

Ale nie wiem, czy to robiła. Zastanawiam się, czy Kacey obchodzi jeszcze cokolwiek. Jej konto na Facebooku jest nieaktywne. Nie napisała tam ani jednego słowa i życzenia powrotu do zdrowia przestały przychodzić, gdy wszyscy ruszyli dalej.

Wiem, że nie powinna być na imprezie w tym stanie. Słyszałem o złych rzeczach, jakie mogą się przytrafić, gdy dziewczyny są tak pijane. Zwłaszcza wtedy, gdy niczym się nie przejmują.

Ale co mam niby zrobić?

Wpada na mnie blondynka z dwoma piwami w dłoniach.

– Hej, chodzisz tu do szkoły? Jak masz na imię? – Odchyła głowę dalej, niż to konieczne, by na mnie spojrzeć, przez co wiem, że próbuje flirtować, ale jest zbyt pijana, by to robić to dobrze.

I tak się do niej uśmiecham. Jest dobrą przykrywką. Mogę stać w tym miejscu i obserwować Kacey.

– Jestem Trent i kiedyś tutaj chodziłem.

– Naprawdę? Kiedy skończyłeś?

Kątem oka widzę, że Kacey rusza ze swojego miejsca przy ścianie i zaczyna wchodzić po schodach, podtrzymując się barierki. Za nią idzie dwóch gości.

Kurwa.

– Um... dwa lata temu.

– Fajnie. Przy okazji, jestem Kimmy. Masz. – Podaje mi piwo, rozlewając trochę na mojej piersi.

Właśnie tego chcę. Cuchnąć jak piwiarnia. Ale i tak je biorę, bo nie przychodzisz tak po prostu na imprezę tego typu i nic *nie* pijesz. Z trudem wytrzymuję kilka następnych minut rozmowy, zastanawiając się nad tym, gdzie poszła Kacey i co się dzieje, kiedy Kimmy pyta:

– Więc, z kim tutaj przyszedłeś?

Idealnie. Moja droga ucieczki. Rich zniknął w tłumie. Jest taki, jak jego kuzyn – dusza towarzystwa.

– Z przyjacielem. Właściwie, jeśli nie masz nic przeciwko, muszę go znaleźć. – Rzucam jej uśmiech. Nie ma powodu, dla którego musiałbym być wobec niej niemiły. – Miło się z tobą rozmawiało, Kimmy.

Nie czekam na jej odpowiedź i przepycham się przez tłum w stronę schodów, z każdym krokiem zwiększając tempo.

– Gdzie poszła ta ruda? – pytam facetów opierających się o balustradę na samej górze, czekających w kolejce do łazienki. Kiwnięciem głowy pokazują na zamknięte drzwi na końcu korytarza.

Drzwi zamknięte *na klucz*.

Zaczynam w nie walić pięścią.

Ze środka ledwo słychać głos:

– Otwieraj te cholerne drzwi. Ona musi iść do domu. *Teraz*. – To ryzykowne posunięcie. Nie wiem, jak na to wszystko zareaguje. Trochę się spodziewam, że sama otworzy drzwi i powie mi, żebym spierdalał. Ale kiedy tego nie robi, znowu zaczynam walić w powierzchnię przede mną. Zebrała się już wokół mnie mała publiczność, ale mam to gdzieś. – Masz dokładnie dziesięć sekund, zanim je wyważę! – I mogę to zrobić. Z łatwością. Prawdopodobnie skończyłoby się na tym, że tuzin chłopaków z bractwa naskoczyłoby mi na plecy, ale cóż, trudno.

– Ej, chwila! Czekaj! – krzyczy ktoś zza mnie. Jakiś ciemnowłosy chłopak podchodzi bliżej. – Cole?

Zajmuje mi chwilę, zanim go rozpoznaję.

– Vance. Prawda? – Koleś z drużyny, który dołączył do niej dwa lata po mnie.

– Taa. – Uśmiecha się krzywo. – Co u ciebie?

Zbywam jego pytanie.

– Muszę wydostać stamtąd tę dziewczynę. Nie bierze dobrowolnego udziału w tym, cokolwiek tam się dzieje.

Sam zaczyna walić do drzwi.

– Griff. Otwieraj! Tu Vance.

Następuje długa chwila ciszy, a potem widzę, jak obraca się klamka.

– Hej! – krzyczy facet, kiedy zahaczam o niego ramieniem, przepychając się obok i wbiegając do środka.

I znajduję Kacey leżącą na łóżku w czarnym staniku i majtkach, z jeansami zwisającymi z jednej nogi. Nieprzytomną. Albo temu bliską, bo ma zamknięte oczy, jej kończyny leżą bezwładnie, a usta lekko się poruszają.

A w środku jest z nią *dwóch* dupków. Gotowych zrobić Bóg jeden wie co.

Czuję rozprzestrzeniającą się wściekłość i rzucam się na tego, który znajduje się najbliżej mnie; tego samego, który otworzył drzwi. Tego z rozpiętą koszulą i paskiem od spodni. Vance staje między nami, żeby mnie powstrzymać, ale z łatwością go odpycham. – Co jej, kurwa, jest? Dawałeś jej coś?

- Nie! Nic! Jeszcze pięć minut temu sama tego chciała. - Koleś wyrzuca ręce w powietrze w geście poddania, a w jego oczach pojawia się strach, gdy chwytam za jego koszulę. - Złapała nas obu i powiedziała, że tego chce. Ale teraz jest *taka*. Nie zamierzaliśmy nic jej zrobić.

- Pewnie.

W progu zgromadził się tłum. Kopnięciem zatrzaskuję drzwi.

Vance stanął na nogi i znowu wpycha się między nas, razem z tym drugim.

- Słuchaj, wszyscy tu pili. Nie róbmy żadnych scen. - Wiem, że to jest skierowane do mnie. Może i graliśmy w jednej drużynie, ale ci kolesie to wyraźnie jego znajomi i będzie ich bronił bez względu na wszystko. Kiwa głową w stronę Kacey. - Znasz ją?

- Tak. - Po gapieniu się na jej zdjęcia przez dwa lata mogę szczerze powiedzieć, że ją znam. Znam każdy kawałek jej nosa. Znam kalejdoskopiczny wzór jej jasnoniebieskich tęczęwek. Wiem, że kiedy się uśmiecha, ten uśmiech jest nieco przekrzywiony i pokazuje głębszy dołeczek w lewym policzku. Znam tę malutką bliznę na jej prawej skroni.

- Okej. Możesz ją stąd zabrać?

Czuję falę mdłości. Naprawdę zamierzam to zrobić?

- Yup. - Wiem, gdzie mieszka.

Vance się waha.

- Możesz prowadzić, stary?

Rzucam mu spojrzenie spod byka.

W ciągu następnych kilku sekund zostaję sam na sam z Kacey Cleary.

I muszę sobie przypomnieć, jak się oddycha.

Jest tutaj, leży na łóżku przede mną, nieprzytomna przez alkohol i/lub narkotyki. Jak często tak się zachowuje?

Nie wiem, czy ci kolesie mówili prawdę, ale jestem przekonany, że już wcześniej bywała w takiej sytuacji. I jestem też pewny, że nie było nikogo, kto mógłby ją przed tym powstrzymać. Nawet teraz, pomimo tego, że zdaję sobie sprawę, jakie to złe, nie mogę się powstrzymać od patrzenia na jej twarz, na jej ciało, na to, jakie jest wyrzeźbione i piękne.

Nawet z niezliczonymi, cienkimi i białymi bliznami chirurgicznymi biegnącymi wzdłuż prawej strony jej ciała. Od jej barku, wzdłuż ramienia, przez żebra, talię i biodra, znikając za wytatuowanymi czarnymi krukami na jej udzie. Kruki symbolizują śmierć; wiem to, bo mój dziadek był strasznie przesądny i strząsał rękę za każdym razem, gdy obok niego przeleciał jakiś kruk.

Jest ich tutaj dwa... trzy... cztery, uwiecznione na jej bladej skórze. Może symbolizują cztery osoby w jej życiu, które tamtej nocy zginęły? Nie, chwila... zza jeansów na jej prawej nodze widać mały czarny punkt. Zsuwam je trochę palcem.

Piąty kruk.

Pięć kruków.

W samochodzie było pięć osób.

Czuję dreszcze na plecach, gdy patrzę z góry na jedyną osobę, która też tamtej nocy przeżyła. Choć może tak naprawdę nie wydostała się z tamtego samochodu.

Jej powieki nagle się rozchylają, a ja zasysam oddech.

– Tyyyy – mamrocze cicho, a jej usta układają się w nietrzeźwy uśmiezek. Na chwilę zaczynam panikować, ale wtedy jej oczy się

wywracają. Nie może nawet skupić na mnie wzroku. Nie ma mowy, żeby mogła mnie rozpoznać.

Jak dużo wypła? Wystarczająco, żeby zatruć swój organizm? Na pewno tyle, że w ciągu następnej godziny może zwymiotować. Nie chcę dopuścić do tego, by zaczęła to robić tutaj.

Z drżącymi rękami, klękam przed nią, żeby wsunąć na drugą nogę luźno zwisającą nogawkę spodni.

Z cichym jękiem je od siebie odsuwa.

- No dalej... co tak długo - mamrocze pijacką gadką, jej usta ledwie się poruszają. Jestem zaskoczony, że w ogóle mogę ją zrozumieć. Przesuwa dłońmi po napiętym brzuchu i po miednicy.

I zaczyna zsuwać swoje czarne majtki.

- Jezu! Nie. - Rzucam się, żeby powstrzymać ją przed ich ściągnięciem, a serce prawie eksploduje mi w piersi. Co to byłoby za widok, gdyby ktoś tutaj wszedł po tym, jaką scenę urządziłem tamtym dwóm dupkom!

Z zaskakującą siłą wyrywa dłonie z mojego uścisku, dając mi szansę na to, bym pociągnął jej majtki w górę. Już ze mną nie walczy, gdy udaje mi się włożyć jej nogę w drugą nogawkę i podciągnąć jeansy do bioder. Podnoszę jej bluzkę z podłogi i zakładam ją przez głowę, po czym sięgam po jej dłoń, żeby włożyć ją w rękaw.

Wyrywa mi się.

- Nie... nie... nie...

- Muszę ci założyć bluzkę, Kacey - szepczę, jeszcze raz sięgając po jej rękę.

– Nie! – Teraz praktycznie wrzeszczy. Jej dłoń po raz kolejny wyrывa się z moich palców. – Nie dłonie... nie dłonie... nie dłonie... – powtarza w kółko, a jej cierpienie jest coraz bardziej dostrzegalne.

– Okej! Okej. Nie dotykam dłoni – obiecuję, marszcząc brwi. O co z tym chodzi?

Nie jest łatwo, ale jakoś udaje mi się ubrać jej koszulkę. Wsuwam jedną rękę pod jej kolana, a drugą za ramiona i ruszam się, żeby ją podnieść.

Zaczyna cicho chichotać i znowu otwiera oczy. A ja zamieram. Nawet jeśli są lekko przekrwione, a jej spojrzenie jest nieskupione, to mimo to są wspaniałe i hipnotyzujące. Nie mogę oderwać od nich wzroku.

I to pewnie dlatego udaje jej się wplątać dłoń w moje włosy i przyciągnąć moje usta do swoich, zanim orientuję się, co się, do cholery, dzieje. Jej język, zaskakująco mocno reagujący jak na kogoś, kto jest tak nawalony jak ona, splata się z moim, sprawiając, że krew w moich żyłach zaczyna pędzić.

To wszystko jest takie niespodziewane, szybkie, gwałtowne, że nie mogę tego powstrzymać. A potem, kiedy przyciąga mnie między swoje uda, a jej dłonie przesuwają się po moich plecach, stwierdzam, że nie chcę przestać. Moglibyśmy się tutaj zatracić, wpadając razem do tej króliczej nory pustych emocji, w poszukiwaniu desperackiej ucieczki, której obydwójce pragniemy. I może tylko my dwoje możemy to tak naprawdę zrozumieć.

I dokładnie w tym momencie zdaję sobie sprawę, jak nisko upadłem.

– Nie mogę... – Odrywam się od niej, a nowy rodzaj poczucia winy osiada w mojej piersi. Wstrętny, obrzydliwy ścisk w dole żołądka.

Poprawiam swoje ubrania i spodnie w kroku, gdzie mój wzwód jeszcze nie zmalął, mimo samoświadomości i znowu ją podnoszę. Nawet jeśli przed chwilą wykrzesła z siebie krótki przebłysk energii, teraz leżała bezwładnie w moich ramionach, z zamkniętymi oczami.

– Przyszłaś tu z kimś? – szepcę, bardziej do siebie niż do niej, szybko i cicho schodząc po schodach i przez tłum na dole. Nie mam pieprzonego pojęcia, co powiem, jeśli ktoś mnie zatrzyma.

Ale nikt tego nie robi.

Ani jedna osoba – żaden znajomy – nie zatrzymuje mnie, gdy wynoszę nieprzytomną Kacey Cleary z imprezy w mroźną, zimową noc, ubraną tylko w koszulkę i jeansy.

Czy ktokolwiek się nią opiekuje?

Odzywa się dopiero wtedy, gdy sadzam ją na miejscu pasażera w swoim samochodzie.

– Nie... nie samochód... nienawidzę... samochodów... – jęczy, podejmując nieudany wysiłek, by wydostać się na zewnątrz.

– Cii, Kacey. Wiem. – Odgarniam jej włosy z czoła. Są nawet jeszcze bardziej miękkie niż to sobie wyobrażałem. – Rozumiem to. Po prostu idź spać. – Waham się, zanim się pochylam, żeby obniżyć dla niej fotel, zastanawiając się, czy znowu mnie pocałuje.

Zastanawiając się, czy bym jej na to pozwolił.

Tak. Pozwoliłbym. To takie niewłaściwe, a mimo to bym to zrobił. Co jest ze mną, kurwa, nie tak?

– Będzie dobrze – obiecuję, zapinając ją pasem bezpieczeństwa. Dwa lata temu powiedziałbym „jebać pasy” i położył ją na tylnym siedzeniu. Ale już nigdy czegoś takiego nie zrobię.

- Szkoda, że nie mogę zabrać cię do mojego mieszkania. Jest o wiele bliżej – mamrocze, opatulając ją swoją kurtką. Siadam za kierownicą i odpalam silnik, po czym wpisuję w GPS jej adres; ten, który mam zapisany w telefonie; i odjeżdżam od krawężnika, nie czując zimna. Nie czując niczego poza szokiem przez dzisiejszy zwrot wydarzeń. Co, jeśli by mnie tam nie było? Co by się z nią stało?

- Tak wygląda prawdziwa Kacey? Czy może taka jest aktualna Kacey? - szepczę, odwracając głowę, by na nią spojrzeć. Przy tym wszystkim, co jej się przydarzyło, nie ma rażących blizn na twarzy. Nadal jest piękna. Przynajmniej tyle dobrego.

- Słyszysz mnie? Kacey? - Nie mogę przestać powtarzać jej imienia.

Zero odpowiedzi.

Z wahaniem wyciągam rękę i dotykam opuszkami palców jej dłoni. Nic. Ani jęku, ani grymasu na twarzy.

Więc splatam nasze dłonie, wyczuwając jej miękką skórę.

I mówię rzeczy, które chciałem powiedzieć od dawna.

- Tak bardzo mi przykro. Przepraszam. Za wszystko. Gdybym mógł to wszystko zabrać, cofnąć, zrobiłbym to. Przysięgam. W mgnieniu oka oddałbym za to własne życie. - I naprawdę bym to zrobił.

Ale powiedzenie tego nie sprawia, że czuję się lepiej. Nawet w najmniejszym stopniu. Więc zamykam się na resztę podróży. Dotarcie do domu Kacey zajmuje dokładnie pięćdziesiąt osiem minut i pokonuję tę odległość z pracującym ogrzewaniem i wyłączonym radiem, trzymając w swojej dłoni bezwładną rękę Kacey Cleary.

Mieszka w skromnym domu parterowym, z cegłami widocznymi na zewnętrznych ścianach, z okiennicami przy małych oknach i betonowymi

stopniami prowadzącymi na mały ganek. Włącza się przyćmione światło, zapewniając słabe oświetlenie dla kogoś, kto tak późno w nocy wraca do domu. Na podjeździe jest zaparkowana nowa Toyota Camry.

Puszczam dłoń Kacey, żeby delikatnie potrząsnąć jej ramieniem. Ale w ogóle jej to nie budzi. Z westchnieniem wciskam gaz i parkuję dwa domy dalej.

A potem po prostu gapię się na nieprzytomną dziewczynę w moim aucie. Jak mam ją nadal obserwować? Skąd będę wiedział, czy to się nie powtórzy? W tej chwili żałuję, że nie mieszkam w Lansing. Jestem od niej za daleko. Za daleko, by być świadkiem jej autodestrukcji.

Zanim mogę się powstrzymać, ostrożnie przeszukuję jej kieszenie, dopóki nie natrafiam na telefon. Nie ma żadnego hasła, by go odblokować. Widocznie nie obchodzi ją to, co się stanie, gdyby ktoś go ukradł. Albo ktoś naruszał jej prywatność.

Tak jak ja teraz.

Szybko przeglądam jej kontakty, po czym zapisuję jej numer w swojej komórce.

Na górze ekranu miga mała ikonka od e-maila. Spisuję również jej adres mailowy – tak na wszelki wypadek – po czym wkładam jej telefon z powrotem do kieszeni.

Podnoszę ją i idę z nią po chodniku, po ścieżce prowadzącej do domu, po schodach i na ganek, rozglądając się dookoła i sprawdzając, czy nie ma żadnych świadków. Choć raczej nikt nie jest na zewnątrz w zimę o tej porze.

– Posadzę cię tutaj – mówię szeptem, delikatnie i z niechęcią odkładając ją na betonową podłogę, opierając ją o ścianę z cegieł. Nie

poruszyła się, nie jęknęła, jej powieki nie drgnęły. Zastanawiam się, co ona, do cholery, zażyła.

A potem sobie przypominam, że stoję na jej ganku, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz chcę, to żeby jej rodzina mnie tu przyłapała i zaczęła zadawać pytania. Więc wciskam dzwonek i krzyżuję palce, a moje serce przez cały czas wali.

Po około trzydziestu sekundach w środku rozlegają się kroki. Przeskakuję przez barierkę i rzucam się za drzewo stojące jakieś trzy metry dalej, docierając tam na chwilę przed tym, jak otwierają się drzwi i pojawia się jej młodsza siostra, przykładając dłoń do oczu, by skryć je przed jasnym światłem.

– Kacey. – Wzdycha. Spodziewałem się krzyku albo płaczu. Czegokolwiek, co powie mi, że to nie jest częste zachowanie. – Dlaczego ciągle to sobie robisz? – Ból w tym szepcie jest oczywisty. Pochyla się i przykładła dwa palce do nadgarstka siostry.

Bo to się stało czymś zwyczajnym dla trzynastoletniej dziewczynki.

W progu pojawia się głowa ich ciotki; pełno na niej wałków, tak, jak można by to sobie wyobrazić na głowie starszej kobiety.

– Jak się tu dostała? – Mrużąc powieki, wpatruje się w ciemność, a ja instynktownie chowam się w cieniu.

Livie potrząsa głową, po czym pyta:

– Możesz mi z nią pomóc?

Muszę wbić piętę w ziemię, by powstrzymać się od wyjścia z za drzewa i zanieśienia jej do środka. Nic dobrego nie stałoby się, gdybym tak wparował w życie Kacey.

Więc obserwuję, jak dziewczynka w piżamie ze Snoppy'm i drobna kobieta zbliżająca się do pięćdziesiątki próbują zaciągnąć nieprzytomną Kacey do środka. To próżny trud. Choć jest szczupła, to jej ciało składa się praktycznie z samych mięśni. W końcu, po kilku minutach, pojawia się półprzytomny wujek we flanelowej piżamie w kratkę i ją podnosi, zabierając do domu.

- Chodź do środka, Livie. Jest przeraźliwie zimno – woła jej ciotka.

- Za chwilę – odpowiada przez ramię, a drzwi się zamykają. Obejmując się w pasie ramionami, odchyła głowę do tyłu i wpatruje się w przejrzyste, ciemne niebo. Panuje głucha cisza; jest tak cicho, że boję się poruszyć jakimkolwiek mięśniem. – Proszę, nie pozwól na to, bym ją też straciła – szepce do nikogo. A może do kogoś. Może do dwóch osób, które już straciła. Ociera dłonią policzki, po których zaczęły spływać łzy.

A we mnie uderza waga tego, co naprawdę zrobiłem tym dziewczynom.

Kacey wymknęła się spod kontroli. Zupełnie jak ja.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kwiecień 2010 r.

Lampy na ulicy zapalają się i gasną, gdy czekam, skulony z zimna. Od kilku godzin siedzę w zaparkowanym aucie, garbiąc się na fotelu i uważając na sąsiadów. Ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to wezwanie policji, bo jakiś dziwny koleś obserwuje kogoś z ukrycia.

W tym czasie widziałem jej ciotkę – kobietę o czarnych włosach, ubraną w bluzkę z guzikami – wracającą do domu z zakupami. Widziałem Livie przechodzącą obok mojego samochodu z torbą na książki na ramieniu i wbiegającą po schodach. Widziałem jej wujka, z trudem wchodzącego po stopniach, jakby jego buty były wykonane z cegieł, trzymającego w ręce brązową papierową torbę na alkohol.

Ale nie widziałem jeszcze Kacey. A jest po dwudziestej trzeciej.

Pewnie, ma osiemnaście lat, no ale jednak.

Dwie godziny później, kiedy światła na ganku gasną i zaczynam myśleć, że w ogóle nie wychodziła z domu, czerwony Dodge Spirit zatrzymuje się przy krawężniku. Widok jej długich, wściekle rudych włosów, gdy wstaje z fotela pasażera z prędkością światła, jakby nie mogła się doczekać, aż wyjdzie z auta, sprawia, że garbię się jeszcze bardziej.

Stawia długie, pewne kroki w stronę ścieżki prowadzącej do jej domu, nogawki jej jeansów lekko dotykają ziemi.

– Hej! – woła facet.

Dzięki mojemu uchylonemu oknu, słyszę, jak mamrocze pod nosem „spierdalaj”.

Ze środka wysiada koleś w podartych jeansach i z łańcuchem zwisającym z ich kieszeni.

– Hej! – krzyczy ponownie.

Wstrzymuję oddech, kiedy Kacey okręca się na pięcie swoich Conversów i pyta ostro:

– No co?

On podnosi rękę, w której trzyma kurtkę i prosty czarny plecak.

– Zapomniałaś swoich rzeczy.

Niechętnie do niego podchodzi, wyciągając przed siebie ręce. Uliczna latarnia rzuca wystarczającą ilość światła, żebym dostrzegł białe linie biegnące wzdłuż jej ramienia. I puste spojrzenie w jej niebieskich oczach.

Blask dawno z nich zniknął.

– Chciałaś po prostu znowu mnie zobaczyć, co? – Widzę tylko jego profil, ale nie podoba mi się ten podejrzany uśmieszek, który jej rzuca. Pewnie nie ma nawet pojęcia, że blask zniknął. I pewnie ma to gdzieś.

Biorąc od niego swoje rzeczy, dmuchnięciem odsuwa kosmyk włosów z czoła.

– Słuchaj... jeszcze raz, jak miałeś na imię? Rick?... Dick?

– Mick – odpowiada sucho.

– Racja, *Mick*. Cóż, *wyraźnie* byłeś wart zapamiętania. – Jej głos ocieka sarkazmem. Mówiąc to, odwraca się, by odejść.

Facet wyrzuca ręce w powietrze.

– Poważnie? I to tyle?

- No czego?! Zrobiliśmy kilka kresek i zużyliśmy trochę prezerwatyw. Szczerze mówiąc, to pierwsze było bardziej przyjemne.

Tamten wygląda na szczerze zdziwionego.

- Ale z ciebie suka.

Zaciskam dłonie na kierownicy i muszę sobie przypomnieć, że nie powinno mnie tutaj być.

Jeśli jego słowa mają na nią jakiś wpływ, nie pokazuje tego, ale posyła mu słodki, fałszywy uśmiech.

- Och, przepraszam. Teraz jesteś we mnie zakochany? Chcesz trzymać się za ręce i rozmawiać o przyszłości? Powinniśmy poznać swoich rodziców? Z moimi to niemożliwe, wybacz. Choć i tak nie jestem pewna, czy by cię zaakceptowali. To może wybierzemy wzór porcelany na ślub?

Facet patrzy na nią tak, jakby straciła rozum.

- Powinieneś wsiąść teraz do samochodu i odjechać. - Znowu odwraca się w stronę domu.

- Wiem, co ci się stało.

- Gówno wiesz - odpowiada.

- Słuchaj, przepraszam. Może następnym razem możemy gdzieś wyjść i, no nie wiem... - Przesuwa dłońią po włosach. - Zobaczyć jakiś film albo coś. - Nie wiem, czy ten koleś jest dupkiem, czy nie. Jeśli bierze narkotyki, a potem się z nią pieprzy, to zdecydowanie nie jest kimś wartym uwagi. Ale w tej chwili wygląda na to, że próbuje jakoś do niej dotrzeć.

- Nie jestem zainteresowana filmami, kolacjami czy długimi spacerami po plaży. Nie jestem zainteresowana przyjaźnią. Nie mam ochoty poznawać ciebie ani nikogo innego. I na pewno nie chcę rozmawiać. Więc wyświadczyć mi przysługę, wsiądź do swojego auta i odjedź. Zapomnij o mnie.

Ja już o tobie zapomniałam. – Znika w domu, a drzwi zamykają się za nią z trzaskiem.

Wpatruję się w tył odjeżdżającego Dodge'a, a pustka we mnie w jakiś sposób rośnie. To nie jest prawdziwa ona. Nie może być.

– Jest jakiś powód, dla którego tu siedzisz? – pyta jakiś głos obok mojego okna, strasząc mnie na tyle, że podskakuję. *Cholera*. Nie zauważyłem nawet tego mężczyzny w średnim wieku idącego chodnikiem, a teraz się na mnie gapi, wzrokiem pełnym podejrzliwości. Jego dog niemiecki ciągnie za smycz, chcąc kontynuować spacer.

Macham swoim telefonem w powietrzu.

– Musiałem odebrać. Okazało się, że to zła wiadomość i musiałem się trochę uspokoić.

Wyraz jego twarzy łagodnieje.

– Rozumiem. Przepraszam, ale po prostu zauważyłem cię, gdy wychodziłem, a mamy oko na nasze sąsiedztwo.

– Oczywiście. Nie chciałem pana przestraszyć. – Odpalam silnik. Mężczyzna odchodzi z psem, gdy odjeżdżam.

W międzyczasie, Kacey jest kompletnie zagubiona.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

25 kwietnia 2010r.

Krażek wlatuje do siatki na piętnaście sekund przed końcem drugiej tercji, przez co stadion wpada w szal.

Tata klepie mnie po plecach – tak, jak zawsze to robi, gdy drużyna, której kibicujemy, zdobędzie punkt. Tyle że tym razem jesteśmy w Madison Square Garden i oglądamy mecz na żywo.

– Skoczę do łazienki przed przerwą.

Patrzę, jak idzie po betonowych schodkach, zauważając, że siwych włosów na jego skroniach przybyło. Przez te ostatnie dwa lata postrzał się chyba bardziej niż przez wcześniejsze dziesięć.

– Siłował się na rękę z Teskym w moim biurze o wasze bilety – woła zza mnie Rolans, jeden z partnerów taty.

– Był w garniturze? – Mentalny obraz mojego taty ściskającego dłońie z symbolicznym siedemdziesięcioletnim partnerem w firmie, który nie brał już spraw i tylko „doradzał” i odbierał zarobki, sprawia, że uśmiecham się pod nosem.

– Z podwiniętymi rękawami – potwierdza Rolans, po czym dodaje ponurym tonem: – Prawie przegrał.

– Nie.

- Poważnie. - Przez wyraz jego twarzy od razu wiem, że mówi prawdę. - Twój tata jest wymęczony. Próbowaliśmy go zmusić do wzięcia urlopu, ale odmawia. Godziny, które wyrabia, są fantastyczne, ale go wykończą. Ten pozew go...

- Jaki pozew? - przerywam mu.

- Ten z twojego *wypadku*. - Akcentuje ostatnie słowo w taki sposób, że mam wrażenie, że ma na ten temat odrębną opinię. Taką, która nie jest dla mnie łaskawa.

- Rodzina Turnerów? Myślałem, że to rozstrzygnięto poza sądem.

- Nie, Monroe. No wiesz, ta nastolatka, która zginęła?

Grymas wykrzywia mi twarz. Nawet nie wiedziałem o tym pozwie.

- Chcą od twojego taty więcej pieniędzy, a on czuje się wystarczająco winny, żeby ich spłacić. Gdybyś miał pojęcie, ile już w tym stracił... - Rolans potrząsa głową, wzrokiem śledząc maszynę do wygładzania lodu.

- Od jak dawna to trwa? - Jak długo to przede mną ukrywał?

- Jakiś czas.

- Ale wypadek był dwa lata temu.

Zerka na swoją córkę, April, która nie odrywa wzroku od swojego telefonu tak, jak każda typowa czternastolatka.

- Kiedy tracisz dziecko, dwa lata to jest nic. Ci rodzice będą tęsknić za ich córką przez kolejne pięćdziesiąt. - Rolans zerka za mnie, dając mi znać, że wraca tata, po czym siada na swoim miejscu, kończąc rozmowę.

Zaczyna się trzecia tercja.

Ale w mojej głowie już nastąpił jej koniec.

– Dobry mecz, prawda? – woła tata z kuchni.

Nie odpowiadam, oglądając ścianę pełną zdjęć. Sanktuarium naszej rodziny. Niektóre z nich rozpoznaję ze ścian salonu w domu, który moi rodzice kiedyś ze sobą dzielili. Inne musiały być schowane w pudełku na buty pod łóżkiem, gdzie trzymała je mama. Nasza trójka razem, ja i tata na meczu hokeja, na kolejnym na treningu piłki, ja i mama na plaży. Sasha i ja na podwórku. Ślubne zdjęcia rodziców.

Pełna butelka Johnniego Walkera, która stała na półce trzy dni temu, gdy przyjechałem do jego domu w Astorii, teraz jest w połowie pusta. Najwidoczniej zostawienie mojej mamy nie złamało jego nowoodkrytego złego nawyku. Właściwie to mam wrażenie, że tylko go pogłębiła. Jak na faceta, który nakłania do odpuszczenia i ruszania naprzód, sam na pewno nie korzysta z własnej porady.

– Musiałem walczyć z Teskym, żeby zdobyć te bilety – żartuje, wchodząc do salonu ze szklanką szkockiej dotykającej jego ust. – Nie często się zdarza, że klient wręcza nam bilety na takie ważne mecze, bez względu na to, jak bardzo mówi, że lubi naszą firmę.

– Od lat nie widziałem meczu Raingersów – stwierdzam.

– Taak, ostatnim razem miałeś chyba piętnaście lat? – Przesuwając palcami po podbródku w zamyśleniu, mamrocze: – Nie mogę uwierzyć, jak szybko upłynął czas.

Szybko, a jednak nieznośnie wolno. Tego samego dnia dwa lata temu siedziałem na kanapie w domu Richa i piłem piwo. Za miesiąc będę mógł powiedzieć, że rodzice są w separacji od roku. Właśnie złożyli pozew o

rozwód. Rolans ma rację. Mój tata stracił dużo, i nie tylko w sensie pieniędzy.

– Nadal ją kochasz, co?

Tata siada obok mnie, przenosząc wzrok – oczy, które po nim odziedziczyłem – na stare zdjęcie mamy z czasów, gdy miała szesnaście lat. Siedziała na drewnianych schodkach, które prowadziły do publicznej plaży, tam, gdzie się poznali. Tysiąc razy słyszałem tę historię. Mój tata rzucał Frisbee do swojego brata, a mama, nieświadoma, weszła prosto między nich i oberwała w głowę. A potem zaczęła się po prostu śmiać.

– Zawsze będę kochać twoją matkę.

– Nie możecie przez to przejść? Teraz... jest lepiej, prawda? – To, co się dzieje codziennie w mojej głowie i sercu nie stoi nawet blisko słowa „lepiej”.

– Nasze małżeństwo chyba w końcu stanęło przed przeszkodą, której nie pokonało – mówi w końcu.

Na zewnątrz rozbrzmiewa klakson.

– To moja taksówka. Pojadę na godzinę czy dwie do biura, żeby dokończysz parę rzeczy. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Ostatnim razem, gdy zerknąłem na zegarek nad telewizorem, była prawie siódma. W sobotni wieczór. I nie widziałem go od świąt. Kusi mnie, żeby zapytać go o pozew, ale tego nie robię. Kiwam tylko głową, a drzwi się zamykają.

Zastanawiam się, czy chodzi o te wszystkie godziny, nadrabianie tego, co stracił dla firmy i dla siebie. A może po prostu w pracy topi swoje smutki nad mamą. A może chce trochę ode mnie odpocząć. Nie ma wątpliwości, że tata mnie kocha. Ale ma też na swojej ścianie zdjęcie trzech uśmiechniętych

chłopców, którzy obejmują się ramionami. Nie znam zbyt wielu ojców, którzy w swojej kawalerce powiesiliby zdjęcie przyjaciół swojego syna.

Chyba że oni też byli dla niego jak synowie.

Sięgam po butelkę.

Cicha ballada w radiu miesza się z dźwiękami niskiego pomruku silnika, razem tworząc kojącą atmosferę panującą w zagraconym garażu taty. Pozwalam, żeby ogarnęła mnie ciemność, tylko deska rozdzielcza świeci zielonymi, rozmazanymi liniami.

Uśmiecha się do mnie z jasnego ekranu, gdy wciskam „połącz”.

Odbiera po trzecim sygnale, wykrzykując „Halo?!” do telefonu ponad głośnym śmiechem i muzyką. Musi być na kolejnej imprezie.

Zamykam oczy i cieszę się tymi kilkoma sekundami, tak samo, jak przy trzech poprzednich okazjach, gdy do niej dzwoniłem. Zablokowałem swój numer, więc nie wie, kto dzwoni; nie, żeby nazwisko Trent Emerson cokolwiek jej mówiło.

– Kto tam, do cholery, jest?

Naprawdę powinienem przestać to robić, inaczej zmieni numer.

Choć to już nie ma znaczenia.

– Słuchaj, ty dziwaku...

Jest pijana? Chyba lekko płacze się jej język. Ale może to ja jestem wstawiony. I, *cholera*, jestem nawalony. Nie mogę nawet skupić wzroku na kierownicy przed sobą. Ale muszę to powiedzieć. Tylko raz, żeby to usłyszała, nawet jeśli nie będzie jutro o tym pamiętać.

- Przepraszam.

Milknie na dłuższą chwilę.

- Za co?

Otwieram usta, ale nie mogę się zmusić do tego, by wypowiedzieć te słowa, więc nie mówię nic.

- Idź do diabła, kretynie. - Połączenie się urywa.

Zajął mi prawie dwa lata i pół butelki szkockiej, którą właśnie wypilem, żeby nagle pojąć oczywistą rzecz.

Nie miałem przeżyć tej nocy.

Pustka, z którą żyłem - tak strasznie pochłaniająca - zostaje osobie, która umarła, ale wciąż oddycha, stawiając czoła każdemu dniu bez perspektywy na jej zniknięcie. Istnieje, ale nie czuje nic poza własnym nieszczęściem. W mojej piersi jest nieskończenie wielki ciężar, którego nigdy nie będę w stanie unieść.

To niszczy moją chęć na cokolwiek.

I w końcu akceptuję fakt, że mam dość. Nie chcę już się tak czuć.

Więc zamykam oczy i opieram głowę o zagłówek fotela. Dokładnie tak, jak tamtej nocy w SUV-ie.

I oddycham, powoli, ciężko, w kółko i w kółko. Wdychając opary, które wlatują do wnętrza auta przez wąż ogrodowy przeciągnięty przez lekko uchylone okno i podłączony do tłumika samochodu.

Pierwszy szczerzy uśmiech od prawie dwóch lat wpływa na moje usta.

Uśmiech ulgi, bo w końcu nadchodzi spokój.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Maj 2010 r.

Jeśli zacznę łysieć, po prostu ogolę głowę. Może nie jest tak do końca łyso, ale ta linia jego włosów kupiła bezpowrotny bilet i jest na dobrej drodze ku temu. Daję mu dziesięć lat, zanim zacznie polerować swój skalp.

- Halo? Trent?

Mrugam kilka razy, próbując skupić się na słowach lekarza.

- Przepraszam, co?

Rzuca mi cierpliwy uśmiech.

- Jak się dziś czujesz?

- Zmęczony – mówię zachrypniętym głosem. Płukanie żołądka przez zatrucie alkoholem, tlenoterapia przez zatrucie tlenkiem węgla i mnóstwo testów i badań psychologicznych sprawiły, że jestem wyczerpany. A teraz mam mnóstwo leków płynących w moich żyłach. Nie jestem nawet pewien, jak długo jestem w tym pomieszczeniu, ale przez większość tego czasu byłem zaspany.

Najwyraźniej tata wrócił z pracy parę minut po tym, jak straciłem przytomność i kiedy przeszukał dom i mnie nie znalazł, szósty zmysł kazał mu sprawdzić w garażu.

Nie mógł znaleźć pulsu.

W swoim pijackim zamroczeniu próbowałem się zabić. I prawie mi się to udało.

Kiedy obudziłem się w szpitalu – znowu – z mamą trzymającą mnie za rękę i mającą łzy w oczach – znowu – i zdałem sobie sprawę, co zrobiłem – znowu – zgodziłem się na wszystko, na co zaczął nalegać, włącznie z intensywnym programem szpitalnym. To tak skończyłem w prywatnej celi w Chicago w kolorze słońca.

Tak naprawdę to nie ceka. Chociaż nie widziałem jeszcze reszty ośrodka, to zgaduję, że jest tutaj całkiem ładnie.

– Twoje ciało wiele przeszło. Przyzwyczaisz się. Jak na ironię, nie jestem wielkim fanem leczenia lekami, ale sądzę, że biorąc pod uwagę głębokość twojej depresji, zyskasz na tym małym, chemicznym resecie.

Depresja. Ciągle to słyszę.

– Więc... – Doktor Stayner zaczyna stąpać po podłodze, z rękami na piersi. – ...rzuciłeś studia, odszedłeś z drużyny piłkarskiej, zerwałeś ze swoją dziewczyną z liceum, twoi rodzice się rozwodzą. I spędzasz większą część swojego czasu w piwnicy matki, izolując się i tam pracując.

– Mniej więcej – mamrocę.

– To była dla ciebie długa droga w dół po spirali. – Przenika mnie swoim spojrzeniem. – Chcesz, żeby ci się polepszyło? Bo to jest wymóg dla mojego szpitalnego programu.

Założę się, że tę samą gadkę daje każdemu. Jednak mi to nie przeszkadza, bo odpowiedź jest prosta.

– Tak. – Teraz myślę jasno; bez szkockiej krążącej w moich żyłach, skazając moje myśli, wzmacniając moje emocje; i wiem, że nie mam wyboru.

Dotknąłem dna i coś musi się zmienić. Coś *musi* się polepszyć. Po prostu nie sądzę, żeby to było możliwe.

Klaska w dłonie, jakbyśmy właśnie przypieczętowali jakąś umowę. Jego oczy iskrzą się szczerym podekscytowaniem.

– Dobrze! Rano zaczniemy terapię. Kopniakiem pošlę twój tyłek prosto na drogę ku wyzdrowieniu. A do tego czasu odpocznij. – Szybkim krokiem wychodzi z pokoju, nie mówiąc nic więcej, zostawiając mnie samego, posyłającego spojrzenie spod zmarszczonych brwi w stronę drzwi. Tata powiedział, że on jest najlepszy. Chyba musimy zobaczyć, czy najlepszy będzie wystarczająco dobry.

Śledzę wzrokiem piłeczkę baseballową, która wzbija się prawie po sam sufit, po czym z cichym uderzeniem wpada w rękę doktora Staynera.

W górę i w dół.

W górę i w dół.

– Więc. Odebranie sobie życia było czymś, czemu poświęciłeś dużo uwagi?

Wzdycham, rozglądając się po jego biurze wyłożonym dywanem. Wygląda mniej więcej tak, jak można się spodziewać po pomieszczeniu psychiatry: biurko, kilka foteli, jakieś oprawione certyfikaty i mnóstwo książek.

– Szczerze? Nie. To znaczy... nie wiem, ile razy marzyłem, żeby iść spać i po prostu już się nie obudzić, ale tak naprawdę niczego nie planowałem.

Kiwa głową, jakby to rozumiał. A rozumie? A może ta odpowiedź po prostu pasuje do podręcznikowej definicji depresji?

– Ale tamtej nocy... – zachęca mnie do mówienia.

– Tamtej nocy... – Przeglądam swoje mgliste wspomnienia. Ostatnio większość moich myśli zmierza w tym samym kierunku, więc nie trudno wskazać odpowiednie. – Zacząłem myśleć o tym, jakie to wszystko jest popieprzone, jak wiele osób zraniłem i że nigdy nie ucieknę od tego uczucia. Że może nie miałem przeżyć. A potem pomyślałem, że dobrym pomysłem będzie wychylenie połowy butelki szkockiej.

– Depresyjny koktajl wzmacniający twoją głęboką depresję. I to się dobrze skończyło, nieprawdaż?... – Piłka leci w górę i w dół. Co dziwne, sprawia to, że rozmowa wydaje się być bardziej zwyczajna. Jakbyśmy wcale nie starali się rozmawiać o tym, że próbowałem się zabić. Zastanawiam się, czy to jakaś technika psychiatryczna. – Jak skończyłeś w samochodzie?

Przed oczami staje mi twarz Kacey. Nie jestem gotów jeszcze wspomnieć ją w tej rozmowie. Może dlatego, że nie chcę się przyznać do tego, że mam jej zdjęcie w swoim telefonie. Może dlatego, że nie chcę przyznać się do tego, że siedziałem przed jej domem. I zdecydowanie nie chcę mówić o tym, co się stało na tamtej imprezie.

– Zacząłem się zastanawiać, czy bycie w samochodzie już zawsze będzie dziwne. – To jedna rzecz, jaką z Kacey wydajemy się mieć wspólną, choć jej fobia jest na całkowicie innym poziomie.

Opiera stopy o biurko i odchyła się na krześle.

– A co sprawiło, że wetknąłeś wąż ogrodowy w tłumik i odpaliłeś auto?

– Bo nie chcę już się tak czuć.

- Czyli jak?

Jak mógłbym opisać to, co się we mnie dzieje? Nie sędzę, żeby istniał jakiś sposób, w którym mógłbym oddać temu sprawiedliwość. Ale próbuję.

- Jakbym szedł brzegiem starej drogi przez dwa lata i nie widział jej końca. A w około nie było żadnej żywej duszy. - I znowu w moich myślach pojawia się Kacey. Dotyk jej ust na moich wargach, jej ramiona, które mnie obejmowały, jej ciało czekające na mnie. Dla niej to była tylko kolejna pijacka noc, kolejny moment wytchnienia od jej nieszczęścia. Dla mnie to było coś głębszego. Na tej niekończącej się, samodzielnej drodze, to było momentalne połączenie z jedyną osobą oprócz mnie, która wyszła z tego wypadku żywa. I przypomniało mi o tym, czego nigdy już nie będę miał, bo niby kto, do cholery, chciałby ze mną utknąć w tej odizolowanej podróży?

Kiedy unoszę wzrok, widzę, że doktor z uwagą się we mnie wpatruje. Nie w sposób „ten idiota zapłaci za remont mojej kuchni”, ale wzrokiem pełnym współczucia. Przełykam ślinę, czując gulę w gardle.

- Więc jak mnie naprawisz?

- Och, ja nie mogę cię naprawić, Trent. Przypiszę sobie zasługi, oczywiście. To bardzo podbuduje moje ego. Ale to ty musisz siebie naprawić.

Ciekawość zwycięża.

- Wiesz, że Trent nie jest moim prawdziwym imieniem, prawda?

- Tak, twoi rodzice opowiedzieli mi twoją historię.

- Więc czemu tak się do mnie zwracasz? Zgadzasz się, że powinienem był zmienić imię?

Wzrusza ramionami.

- A kim chcesz być?

- Nie Colem Reynoldsem.

- Więc to chyba sprawia, że jesteś Trentem Emersonem, prawda? -
Podrzuca piłkę kilka razy. - Miałem kiedyś pacjenta. Nazywał się Benny
Flanagan, ale naciskał na to, byśmy zwracali się do niego Fidel Castro.

Nie mogę stłumić parsknięcia.

- I co zrobi...

- Fidel Castro. - Śmieje się pod nosem. - W skrócie Fiddy. Miał kilka
bardzo poważnych problemów z tożsamością. Ale w końcu sobie
przypomniał, że jest Bennym Flanaganem.

- A co, jeśli nie chcę już nigdy wracać do bycia Colem Reynoldsem?

- A co, jeśli nie możesz? - Doktor Stayner pyta bez mrugnięcia okiem.

Marszczę brwi. Czy to jest podchwytliwe pytanie?

Odkłada piłkę na biurko z głośnym pacnięciem.

- Właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Nie możesz wrócić. Nie
możesz zmienić tego, co się stało. Nie możesz wskrzesić umarłych. Możesz
jedynie znajdować sposoby na to, by pomóc sobie się z tym wszystkim
pogodzić. Tylko tak możesz kiedykolwiek ruszyć dalej. Czego ty, Cole,
Trencie, lub kimkolwiek chcesz być, potrzebujesz, żeby ruszyć naprzód? Bo
możemy zmienić kierunek, w którym zmierza twoja przyszłość. Dlatego tu
jesteś. Wszyscy chcemy, żebyś miał przed sobą długie i szczęśliwe życie.

- Okej... - To, co mówi, ma sens. Szczerze, to nic, czego już bym nie
wiedział. Ale kiedy doktor Stayner to mówi, czuję się tak, jakby dawał mi
przyzwolenie, którego sam sobie nie mogę dać. - Więc jak mam naprawić
siebie?

Bezceremonialnie spuszcza nogi z biurka na ziemię.

- Cóż, przede wszystkim przypominając sobie, że jesteś człowiekiem.

Jak na wychwalany szpital psychiatryczny, nie jest tu tak źle. Nie żebym kiedykolwiek wyobrażał sobie, jak może wyglądać takie miejsce. Zdecydowanie nie ma tu szaleńców dających przemowy o końcu świata albo o armii głosów w swojej głowie. Jest mnóstwo bardzo miłych osób w prywatnych pokojach i uśmiechnięty personel, żeby dać ci to, czego potrzebujesz; jest siłownia, na której spędziłem sporo czasu; jest mały dziedziniec z dębami i małymi fioletowymi kwiatkami budzącymi się po długiej zimie oraz drewnianymi ławkami, gdzie można usiąść i cieszyć się świeżym powietrzem.

Oczywiście zakładam, że nie każde miejsce jest takie. Jestem pewny, że moi rodzice płacą za te dogodności. Będę pracował na dwie zmiany, żeby im to spłacić, czy im się to będzie podobało czy nie.

- Piękny dzień.

Zasłaniam oczy przed promieniami słońca, a obok mnie siada jakaś kobieta, poprawiając swoją kitkę i przekładając ją nad ramieniem.

- Tak, miło znowu poczuć słońce. - Uśmiecham się do siebie, zdając sobie sprawę, że mówię szczerze.

- Jestem Sheila. - Wyciąga dłoń w moją stronę, skóra przy jej oczach lekko się marszczy, gdy się uśmiecha. Nie mogę nie zauważyć różowych blizn na nadgarstku, który trzyma na kolanach. - Jak długo tu jesteś?

- Prawie dwa tygodnie. A ty?

- Sześć.

- To długo.

- Długo, żeby zadawać się z doktorem Staynerem – poprawia i oboje się śmiejemy. Milknie na chwilę. – Przez co tutaj jesteś? – pyta o to tak zwyczajnie, udowadniając, że czas, który tu spędziła, prawdopodobnie został dobrze wykorzystany.

Dwa tygodnie wcześniej nie mógłbym mniej się przejmować trudną sytuacją kogoś nieznanego lub opowiadaniem mu o swojej, bo byłem tak pochłonięty chaosem we własnym życiu, że nie wierzyłem w istnienie sposobu, by jakoś mnie z tego wyciągnąć. Ale jeśli grupowe sesje terapeutyczne czegoś mnie nauczyły, to właśnie tego, że rozmawianie o wypadku i o tym, co się działo później z ludźmi, którzy to rozumieją, rzeczywiście pomaga. A każda osoba na sesji rozumie. Albo przynajmniej mogą mi współczuć. Nie znali Sashy i Dereka oraz nie brali udziału w tym wypadku, ale coś osobistego sprawiło, że się tutaj znaleźli. I nie oceniają mnie, bo to szybko prowadzi do oceniania samych siebie.

W pokoju z tymi ludźmi, trzymając za rękę nasze wszystkie demony, czuję w pewnym sensie spokój.

To dlatego mówię Sheili o wszystkim. Opowiadam jej nawet o Kacey, o rzeczach, do których nie przyznałem się doktorowi Staynerowi. Nie wszystkie brutalne szczegóły, ale chyba wystarczająco, żeby zrozumiała, ile Kacey zaczęła dla mnie znaczyć.

I jak bardzo mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku.

To jedyna rzecz, która nie podoba mi się w tym miejscu. Nie ma internetu ani telefonów komórkowych. W żaden sposób nie mogę się upewnić, czy Kacey dociera w nocy do domu.

Sheila wysłuchuje całej historii, obracając na palcu obrączką ślubną. I kiedy nadchodzi jej pora na mówienie, bierze głęboki oddech. Mówi mi o

swojej jedenastomiesięcznej córce, Claire i o tym, jak odwróciła wzrok od szczęśliwego dziecka pluskającego się w płytkim baseniku z kilkoma centymetrami wody na nie więcej niż dziesięć sekund, przysięga, podczas gdy ona żegnała się z gośćmi.

I o tym, że Claire musiała próbować wstać, ale wpadła do wody.

I o tym, jak Sheila ją znalazła, twarzą schowaną w wodzie i całkowicie nieruchomą.

Do czasu, kiedy kończy, serce ciąży mi w piersi tak, że aż boli.

– Naprawdę mi przykro.

Uśmiecha się smutno, przesuając wzrokiem po otoczeniu przypominającym park.

– Mi też. Chyba wypowiadałam te słowa więcej niż tysiąc razy. Mąż mi nie wybaczył. Mówi, że tak, ale widzę to w jego oczach. Nie winię go. Sama też nie mogę sobie wybaczyć. I nigdy tego nie zrobię. Ale myślę, że pomogłoby mi, gdyby on mi wybaczył.

Między nami zapada cisza.

I zastanawiam się, jakby to było mieć przebaczenie Kacey. Zmniejszyłoby choć trochę ciężar, który dźwigam?

Czy byłoby to zbyt samolubne, by o to prosić?

– Zrobiłeś niewiarygodnie głupi błąd – stwierdza rzeczowo doktor Stayner.

- Tak, wiem. Dzięki. Już to przerabialiśmy. - Cztery tygodnie grupowych sesji terapeutycznych oraz naszych prywatnych rozmów ze słynnym lekarzem nauczyły mnie, że mogę powiedzieć lub zrobić cokolwiek chcę i go tym nie urażę ani nie obrażę. On zdaje się odnosić w ten sam sposób do swoich pacjentów.

- Wyobraź sobie, że jesteś kapitanem Edwardem J. Smithem. - Moim zaskoczonym spojrzeniem zarabiam sobie przewrócenie oczami. - Facet, który wpłynął niezatapialnym statkiem w górę lodową i go zatopił? Zabił półtora tysiąca osób? Przeszedł do światowej historii? - Otwiera szeroko oczy ze zdumienia. - Wy, dzieciaki... czego oni was teraz uczą?

Nigdy nie wiem, czego się spodziewać, kiedy wchodzę do jego biura.

- Zignorował kilka ostrzeżeń o górze lodowej. Dlaczego? Nikt nie wie na pewno. Zgaduję, że *założył*, że budowniczy mieli rację i statek był niezniszczalny. Może *założył*, że statek tego rozmiaru po prostu ten lód rozwali. Bez względu na powód, był odpowiedzialny za ten statek i za to, że nie zmienił jego kursu. Przez to, co zrobił, albo czego nie zrobił, wszyscy ci ludzie zginęli. Przez *błąd*. Coś, co popełnia każdy człowiek.

Teraz już chyba wiem, gdzie z tym zmierza. Albo i nie. Stayner ma tendencję do zmieniania tematu co jakiś czas.

- Założyłeś, że twój przyjaciel mógł prowadzić auto, bo ty też nigdy nie wsiadłbyś za kierownicę wiedząc, że jesteś pijany, prawda?

- Nigdy - odpowiadam bez wahania. Znałem Saszę tak dobrze jak siebie.

- I prawdopodobnie myślałeś wtedy, że sobie z tym poradzi, bo sam byłeś pijany i chciałeś jechać do domu, żeby się uczyć. - Wzrusza ramionami. - I dlatego, że ludzką naturą jest myślenie w stylu „to mi się nigdy nie przytrafi”.

- Przestań mnie usprawiedliwiać. – Już od jakiegoś czasu krążyliśmy wokół tego tematu, gdzie on mówi mi, że nie mogę brać na siebie odpowiedzialności, a ja mówię mu, że jestem odpowiedzialny i żadna psychologiczna paplanina tego nie zmieni.

- Nie usprawiedliwiam. Po prostu stwierdzam fakty. Daję powody. Faktem jest, że nie chciałeś przekazać kluczy swojemu pijanemu przyjacielowi. Gdybyś wiedział, że jest pijany, pewnie poczekałbyś i pojechał sam, prawda?

- Prawda, ale...

- I prawda jest taka, że nie wypiełeś za dużo celowo.

- Tak, ale to nie zmienia tego, że to zrobiłem.

- Prawda. Zrobiłeś. I nie możesz tego cofnąć. Ale twój przyjaciel Sasha poprosił cię o kluczyki. A twój przyjaciel Derek był całkowicie zdolny do zapięcia swojego pasu bezpieczeństwa. Sasha także. To był ich decyzja, jaką podjęli; lub też nie podjęli; i zapłacili za to własnymi życiami.

- A rodzina Cleary? Nie prosili się o to.

- Nie, nie prosili – stwierdza z powagą. – Byli po prostu w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Pomyśl tylko, gdyby nie zatrzymali się na pizzę, gdyby nie pojechali na ten mecz...

Przebiega przeze mnie dreszcz.

- Wiem. – Dużo o tym myślałem. I jestem pewny, że Kacey też.

- Ale takie jest życie, Trent. Czy nam się to podoba czy nie, żyjemy i umieramy przez niekończący się strumień wyborów, które wpływają na każdy krok w naszym życiu. Czasami w sposób, w jaki nigdy nie odważylibyśmy się pomyśleć lub marzyć. Czasami w sposób, którego nie możemy zrozumieć przez dłuższy czas. Staram ci się pomóc zrozumieć to,

co się stało, bo im szybciej to zrobisz, tym szybciej będziesz mógł ruszyć naprzód. Popełniłeś *błąd*, Trent. Błąd polegający na wypiciu za dużo i na uwierzeniu, że twój przyjaciel jest w stanie prowadzić auto. Sasha popełnił błąd, myśląc, że może je prowadzić. Sasha i Derek popełnili błąd, nie zapinając swoich pasów. A te wszystkie błędy złożyły się na tragiczny wypadek, w którym życie straciło sześć osób.

Przerywa, jakby pozwalając na to, by te słowa utkwily w mojej głowie.

– Wczoraj przy kolacji powiedziałem swoim synom o tej sprawie. Są jeszcze zbyt młodzi, by prowadzić auto, ale lubię raz na jakiś czas straszyć ich scenariuszami, które pisze życie.

– Czy to nie jest nieetyczne?

Macha lekceważąco dłonią, odganiając moje wątpliwości.

– Wypadek jest znany opinii publicznej.

– A co z resztą? – Nie zdziwiłbym się, gdyby doktor Stayner odtwarzał zapis naszych rozmów swoim dzieciom przy kolacji, nad kurczakiem. Przez ten czas, odkąd tu jestem, szybko nauczyłem się, że ten cierpliwy, pragmatyczny lekarz jest także głośnym i natarczywym mężczyzną. Naciska na granice i nie przebiera w słowach. Czasami to powoduje problemy. W zeszłym tygodniu widziałem jak wybiegał z tego biura w kierunku sanitariuszy, ze zrozpaczonym pacjentem depczącym mu po piętach i wrzeszczącym na niego. Musieli go uspokoić, dając mu leki. Dwa dni temu sprawił, że prawie stu pięćdziesięciu kilogramowy facet imieniem Terrence łkał niekontrolowanie jak dziecko.

Mówi, że w obu tych sprawach nastąpił poważny przełom.

Na razie powstrzymam się od komentarzy na ten temat.

- Nie powiedziałem im o reszcie. A chcesz, żebym to zrobił? Albo, lepiej... - Podnosi ze swojego biurka wielką pomarańczę, która z jakiegoś powodu przykuła moją uwagę i mi ją rzuca. - Może ty byś chciał to zrobić? Bo mogę ci zagwarantować, że twoja historia ma znaczenie. Nie możesz ocalić swoich przyjaciół ani osób w innym samochodzie. To zostaje w przeszłości. Ale możesz ocalić życia teraz. W przyszłości. Kiedy mówię o zadośćuczynieniu, to takie coś mam na myśli.

- Więc w końcu się zgadzasz, że to była moja wina - mówię cierpko.

Wyrzuca rękę w powietrze, sfrustrowany.

- Zgadzam się, że ty sądzisz, że to twoja wina. Tego nie mogę zmienić. Ty to możesz zrobić. Albo to zaakceptować i ruszyć naprzód. A jedynym sposobem, żeby to zrobić, jest zmniejszenie twojego poczucia winy. Poczucie, że możesz zyskać przebaczenie w jakimś stopniu. A sposobem na to jest podjęcie takich kroków, które w twoim przekonaniu musisz zrobić, by to jakoś naprawić. Więc może narysujemy linię w piasku i pójdziemy dalej. Zgoda?

Kiwam głową.

Przeciąga palcem po biurku.

- Linia narysowana. Teraz tylko musimy się dowiedzieć, jak wygląda twoja rekompensata.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czerwiec 2010 r.

– Nie spędziliśmy za dużo czasu na rozmowie o tej dziewczynie, która też przeżyła. Jak się nazywała?

– Kacey Cleary.

– Właśnie. I jak często myślisz o tej Kacey?

Wzruszam ramionami, bawiąc się sznurówką i obracając ją w palcach.

– Nie wiem. Czasami często. Czasami prawie w ogóle. – Taka dwuznaczna odpowiedź. Takie kłamstwo. Zastanawiam się, czy Stayner je przejrzy. Prawdopodobnie tak. Bystry doktorzek wydaje się nigdy niczego nie przeoczać.

Jeśli wie, na razie to odpuszcza.

– To normalne. Czujesz, że ją skrzywdziłeś.

– Bo *skrzywdziłem*.

Nie mówi nic więcej na ten temat.

– Twój tata mi powiedział, że raz pojechałeś odwiedzić ją w szpitalu?

– Tak. Ale nie miałem odwagi, żeby faktycznie się z nią zobaczyć.

– Myślałeś o tym, żeby spróbować jeszcze raz?

Kłamanie pewnie nic dobrego nie wskóram.

– Tak – urywam. – Powiesz mi, że nie powinienem?

Powie, że nie powinienem. Naprawdę mam, kurwa, nadzieję, że tego nie zrobi, bo sam już cholernie dobrze wiem, że to zrobię.

Wzrusza ramionami.

– Z tego, co mówił twój tata wygląda na to, że przeszła ciężkie chwile. Może nie być tak otwarta na spotkanie z tobą. A jeśli ty nie jesteś całkowicie pogodzony w tym, w jakim momencie życia się znajdujesz, obawiam się, że to może się ściągnąć z powrotem na ciemną ścieżkę, na którą nie chcesz wracać. Teraz musisz się skupić na sobie.

Wzdycham. Pewnie ma rację.

– Czujesz, że potrzebujesz od niej swego rodzaju zamknięcia rozdziału?

Znowu kiwam głową.

– Czy coś w tym stylu. – Boję się powiedzieć więcej.

Wyciąga z szuflady notatnik w linie oraz długopis i rzuca je na biurko przede mną.

– Spisz to. Wszystko, co chcesz jej powiedzieć. Ja nie muszę tego widzieć. Ale wyrzuć to wszystko z siebie i na tym poprzestań. Może za jakiś czas ona będzie ciebie szukać. Wtedy możesz to jej dać, jeśli chcesz. Albo możesz to powiedzieć na głos. – Milknie na chwilę. – Tylko bądź przygotowany, że ona może nigdy nie będzie chciała cię poznać i to ona zasługuje, żeby zrobić pierwszy krok. Zgadzasz się?

Wzdycham. Nie do końca to chciałem usłyszeć.

Leżę na podwójnym łóżku w moim małym, słonecznym pokoju, rozważając wszystko, co powiedział mi doktor Stayner. To jedna rzecz, którą robię za jego sprawką. Myślenie. Jakby miał czarodziejską różdżkę.

Myślę o Kacey Cleary tak, jak zawsze to robię – zastanawiam się, jak się teraz ma, mając nadzieję, że nie wplątuje się w żadne kłopoty. Jak daleko jeszcze może się potoczyć po tej spirali? Chyba mogłaby uderzyć dna, tak jak ja. Może już to zrobiła. A co, jeśli mnie stąd wypuszczą i dowiem się o najgorszej rzeczy? Cały ten czas spędzony z doktorem Staynerem pójdzie na marne; jestem o tym przekonany. Z tak wielu powodów, zarówno samolubnych, jak i nie.

Bo chcę, żeby była od tego wolna.

I dlatego, że może i mogę robić wszystko, żeby coś polepszyć, ale nie sądzę, że kiedykolwiek tak naprawdę ruszę naprzód, dopóki ona tego nie zrobi.

Dopóki nie wróci ta iskra w jej oku, a uśmiech nie będzie lśnił na jej twarzy.

Notatnik leży na mojej piersi; gdzie znajduje się od kilku godzin, a na kartkach rzędy poprzekreślanych zdań. Bo po prostu nie ma słów.

Tylko życzenie.

Uścisk dłoni Staynera jest mocny; taki, jakiego bym się spodziewał po jego prawości i sile.

– Gotowy, żeby zostać wypuszczony w dzicz? – pyta z dumnym uśmiechem na ustach. *Powinien* być dumny. Dał mi siłę i koncentrację.

Dał mi cel.

Śmieję się pod nosem.

– Taa, chyba tak. – Dziwnie się czuję, opuszczając te mury pięć tygodni później, biorąc pod uwagę w stan, w jakim tu trafiłem. Ale myślę, że jestem gotowy.

Stayner marszczy brwi.

– Co się dzieje w twojej głowie, Trent? Ciągłe o czymś myślisz, co?

Cholerny facet. Nie mogę powiedzieć, że nie, bo prawdopodobnie podrze na strzępy papiery dotyczące mojego wyjścia stąd. Nie żebym nie mógł odejść sam – to nie jest więzienie. Ale obiecałem rodzicom, że doprowadzę to do końca i mam wszelkie intencje, by to zrobić. Więc przyznaję wymijająco:

– Jestem zdenerwowany. Przez wszystko. Przez ponowne spotkanie z ludźmi. Przez zobaczenie rodziców po tym, przez co przeze mnie przeszli.

Klepie mnie po ramieniu, jak – wyobrażam sobie – ojciec zrobiłby swojemu synowi.

– Wiesz, jacy są dziś szczęśliwi, kiedy czekają tam na parkingu? Wiedząc, że z powrotem dostaną swojego syna?

Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć, że nie jestem już tą samą osobą.

– Tak, ale i tak biorą rozwód. I tak stracili swój cały fundusz emerytalny. Nie mogę tego zmienić.

Z powagą kiwa głową.

– Masz rację. Nie możesz. To wyzwanie, któremu oni i ich związek muszą stawić czoła. Ale każdy dobry rodzic oddałby wszystkie pieniądze świata, by jego dziecko żyło i miało się dobrze. Poznałem twoich rodziców. To dobrzy ludzie, Trent. Więc skup się na sobie. Masz solidny plan, by wyzdrowieć, ludzi, którzy cię kochają oraz, co najważniejsze, zadośćuczynienie do zrobienia.

Przytakuję. Ma rację.

Przechodząc przez drzwi kliniki, dostrzegam zaparkowany SUV mojego taty. On i mama wychodzą ze swoich miejsc, z uśmiechami pełnymi nadziei.

Wystarczy tylko odwzajemnić uśmiech, żeby w oczach mamy wezbrały się łzy.

Unosząc w górę palec – prosząc ich o chwilę – wyciągam telefon z kieszeni i wybieram liczbę trzy na szybkim wybieraniu.

– Halo? – Brzmi pusto jak zwykle, ale to jej głos.

Rozłączam się i przelewa się przeze mnie fala ulgi. Kacey wciąż tam jest. Wciąż się jakoś trzyma. Na razie to wszystko, na co mogę mieć nadzieję. W tylnej kieszeni spodni czuję złożoną kartkę, tę, którą może będę w stanie dać jej któregoś dnia. Może. Ale Stayner ma rację; to nie fair, żebym ją poszukał z samolubnych powodów.

Więc będę się trzymał od niej z daleka.

Na razie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wrzesień 2010 r.

Jej dłonie pocierają papier do obicia wzoru na moich plecach powolnymi, gładkimi pociągnięciami.

– W jakim to jest języku?

– Łacina.

– Ach... Usiądź prosto. Tak jest dobrze?

Robię to, o co mnie prosiła i spoglądam na lustro przede mną, żeby spojrzeć na odbicie w tym, które trzyma w sposób, bym widział swoje plecy. Grube, czarne litery rozciągają się od łopatki do łopatki.

– Idealnie.

– No dobrze, Trent. Gotowy na swój pierwszy tatuaż? – Widzę iskrę w jej oczach oraz zmysłowy uśmiezek, gdy trzyma w powietrzu pistolet do tatuowania. Zastanawiam się, czy wciąż posyłałaby mi spojrzenie pod tytułem przeleć-mnie, gdyby wiedziała, że byłem pacjentem w klinice po próbie samobójczej kilka miesięcy temu.

Nie żeby to miało znaczenie. Poświęcam swoją uwagę jednej dziewczynie i nie zamierzam jej dzielić.

– Gotowy. Zróbmy to.

- Halo? – W jej głosie słycać zniecierpliwienie.

A ja od razu pokrywam się potem ze zdenerwowania.

- Jest James?

- James? Nie. Nie ma tu żadnego Jamesa. Naucz się wybierać numer! – Pełne zirytowanie. Ale jest trzeźwa. Dzwoniłem do niej w trzy różne soboty i za każdym razem była całkowicie przytomna. To już coś. Może jej spirala się zatrzymała. Może się jej poprawia.

Muszę wiedzieć.

Rozłącza się, tak samo, jak przy poprzednich dwóch razach, gdy dzwoniłem i prosiłem o Jamesa.

Następnie dzwonię do Richa.

- Hej! Cole! Jak tam?

Zaciskam zęby, ale nic nie mówię. Rich zna mnie jako Cole'a. To się nigdy nie zmieni i nie mogę oczekiwać, że po prostu zacznie się do mnie zwracać inaczej. Stayner pomógł mi znaleźć na to logiczne wyjaśnienie. Trzymanie się niektórych rzeczy z przeszłości, nawet jeśli nie jestem już tamtym facetem, sprawi, że będę „stabilniejszy emocjonalnie”.

- Wszystko gra.

- Próbowałem dzwonić parę razy. – Słyszał, co się stało? Mama mogła powiedzieć mamie Dereka. Nadal rozmawiały od czasu do czasu.

- Sorry, stary. Byłem zajęty. - To nie jest kłamstwo. Kiedy drzwi kliniki doktora Staynera się za mną zamknęły, wyszedłem stamtąd, biegnąc. W ciągu kilku dni zlokalizowałem i poszedłem na swoje pierwsze spotkanie grupy wsparcia dla osób z zespołem stresu pourazowego. Chodzę tam raz w tygodniu. Dzięki temu nawiązałem kontakt z lokalnym liceum i dwoma szkołami podstawowymi. Jestem w trakcie dyskusji, by przedstawić prezentację na temat niebezpieczeństw picia i jechania autem. Pewnie posram się ze strachu, ale to coś, co muszę zrobić. Stayner trafił w dziesiątkę. Nie mogę zmienić tego, co się stało, ale mam historię do opowiedzenia, taką, która może wpłynąć na życie innych ludzi. A jaki jest lepszy sposób, żeby zacząć swoje zadośćuczynienie?

- Musisz znowu wpaść, niedługo.

- Może w ciągu kilku miesięcy? - Potrzebowałem całej swojej siły, by nie wskoczyć w samochód i nie pojechać pod konkretny, ceglany budynek na obrzeżach Grand Rapids. Ale to zbyt ryzykowne. Nie wiem, co się stanie z Kacey, gdy mnie zobaczy. Albo jak to może wpłynąć na mnie.

- Nadal jestem na mieszkaniu. Postanowiłem zrobić doktorat.

Śmieję się pod nosem.

- Derek zawsze mówił, że nie chciałeś przyłączyć się do realnego świata. - Dobrze być w stanie śmiać się z czegoś dotyczącego przyjaciela bez palącego uczucia w żołądku. - Słuchaj, mam przysługę.

- Pewnie. Cokolwiek mogę zrobić.

Waham się. Ten pomysł może być szalony - właściwie to wiem, że taki jest. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy dokładnie na niego wpadłem. Pewnie mniej więcej w tym samym czasie, gdy zdałem sobie sprawę, że trzymanie na nią oka będzie niemożliwe z pięciogodzinną odległością między nami.

- Nadal znasz tego hakera?
- Uch... Tak. Dlaczego?
- Ile kosztowałoby włamanie się do czyjeś skrzynki pocztowej?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Czerwiec 2011 r.

- Cieszę się, że cię złapałam.

- Hej, mammo.

- Jak idzie szukanie mieszkania? Sprawdziłeś tę dzielnicę, o której ci mówiłam?

Słyszę nadzieję w jej głosie. Mówi o tej, która znajduje się około siedem minut drogi od jej domu. Kiedy pierwszy raz powiedziałem jej, że czułem, iż czas już zainwestować w coś na własną rękę, starała się ukryć panikę. Nawet mimo tego, że mam się dobrze – szczerze; tym razem to nie jest udawanie – to ona nadal śpieszy się do domu, by zdążyć na kolację. Nadal dzwoni do mnie każdego popołudnia, jeśli sam jeszcze do niej nie napisałem lub nie zadzwoniłem; prawie każdej nocy budzę się na dźwięk skrzypiących drzwi, wyczuwając, jak stoi nad moim łóżkiem i słucha, czy oddycham.

Nigdy się tak nie zachowywała. Stayner ostrzegł mnie, że mogę się tego spodziewać. Zarówno od niej, jak i od taty. Przez długi czas będą zadawać mnóstwo pytań, patrzeć na mnie z troską i ogólnie będą nadopiekuńczy. W końcu prawie mnie stracili. Dwa razy.

- Um... tak. Zobaczymy, mammo. Słuchaj, może zostanę dziś na noc u znajomego.

- Och? U którego?

- *Mamo.*

Wzdycha.

- Racja. Przepraszam. Okej, tylko do mnie napisz, żebym się nie martwiła. Tęsknię za tobą.

Pomiędzy kursami na miejscowy uniwersytet oraz całą pracą, którą wykonuję – dla mojej mamy, ale też dla małych firm, których nie stać na to, żeby zainwestować w reklamę drukowaną, ale mogły potrzebować logo lub projekt marketingowej broszury – a także cotygodniowymi sesjami, rzeczami z M.A.D.D.¹⁵, w które jestem zaangażowany oraz chodzeniem na siłownię, praktycznie nie ma mnie w domu.

- Napiszę. Kocham cię. – Prawda jest taka, że zbliżam się do punktu, gdy potrzebuję więcej przestrzeni, więcej wolności, żeby wyjść i wrócić bez wyjaśniania.

Bez konieczności kłamania.

Tak jak dziś, kiedy wychodziłem z domu o szóstej rano, musiałem jej powiedzieć, że szedłem na siłownię. Miałem szczęście, że nie spytała, po co w takim razie brałem prysznic. A teraz, prawie sześć godzin drogi od domu, siedzę w Starbucksie w Caledonii i ją okłamałem. Jestem tu od południa, rozgaszczając się w rogu z tyłu, z regularnym strumieniem kofeiny, która mnie napędza, z otwartym laptopem przed sobą.

Z otwartą skrzynką pocztową Kacey Cleary.

Powinienem czuć wyrzuty sumienia, że naruszam jej prywatność – mała część mnie czuje – ale nie robię tego, by ją zranić. I mam swoje granice. Kiedy haker, którego zna Rich, zaoferował mi, że może podłączyć się do

¹⁵ Ang. *Mothers Against Drunk Driving* (M.A.D.D.) – organizacja nakłaniająca do nie wsiadania za kierownicę po pijaku. Została założona przez matkę, której córka zginęła w wypadku przez pijanego kierowcę.

kamerki internetowej przy komputerze w ich domu za kolejny tysiąc, powiedziałem mu, że go znajdę i skopię mu dupę, jeśli to zrobi.

To, co zyskałem przez tą pocztę, to mały wgląd w życie Kacey. Małe okno. Nie takie, przez które bym się zmieścił, ale przynajmniej teraz cokolwiek o niej wiem. Informacje, które zbieram w małym notatniku. Rzeczy, których nie mogę zapomnieć.

Jak to, że Kacey nie ma przyjaciół.

Cóż, może to nie fair z mojej strony, że tak mówię, ale przez osiem miesięcy, w ciągu których wpisywałem „dupki” jako hasło do jej poczty, nie widziałem żadnego e-maila od znajomego. Może po prostu do siebie nie piszą.

Szczerze mówiąc, nie ma tu za dużo ciekawych rzeczy. Głównie spam, włącznie z biuletynem doradztwa oraz informacje o grupach wsparcia – gdzie zapisałem ją na subskrypcję, używając jej e-maila. Nawet nie kłopotowała się, żeby je usunąć, a co dopiero je otworzyć.

Wiem, że skończyła swoją ostatnią klasę liceum, nawet jeśli z rocznym opóźnieniem. Biorąc pod uwagę kilka starszych wiadomości od szkolnego doradcy, proszącego o spotkania, by przedyskutować jej oceny oraz opcje, przez które mogłaby je polepszyć, raczej nie ukończyła go z wyróżnieniem. Ale muszę ją pochwalić za to, że nie zrezygnowała. Tak, jak ja to zrobiłem.

Wiem też, że w zeszłe wakacje zaczęła pracować w Starbucksie. Wygląda na to, że jest tu prawie codziennie, biorąc dodatkowe zmiany za każdym razem, gdy jej manager, Jake, do niej napisze. Na początku były to tylko okazjonalne e-maile, zawierające tylko jej harmonogram pracy. Jednak w ciągu kilku miesięcy, zaczął wysyłać też tandetne i skrajnie

nieodpowiednie żarty przy każdej wiadomości. Dla każdego byłoby oczywiste, że z nią flirtuje. A przynajmniej *ja* to widzę.

To właśnie dlatego w końcu złamałem zasadę, którą ustaliłem w dniu, gdy wyszedłem z kliniki i tutaj przyjechałem. Bo kiedy przeczytałem tego ostatniego e-maila, stwierdziłem, że muszę się przekonać raz na zawsze.

Do: Kacey Cleary

Od: Jake Rogers, zarząd Starbucksa

Data: 11 czerwca 2011 r.

Re: W tę niedzielę od 15 do 23

Hej, Red – możesz pracować w tę niedzielę? Joanne ma jakąś sprawę rodzinną. Też wtedy będę.

Do: Jake Rogers, zarząd Starbucksa

Od: Kacey Cleary

Data: 11 czerwca 2011 r.

Re: W tę niedzielę od 15 do 23

Wezmę tę zmianę. Bez względu na to, że tam będziesz.

Bez uśmiechniętej emotikony. Nie napisała „LOL”. Nie ma nic wskazującego na to, że żartowała. Brzmi to tak, jakby próbowała go spławić.

Tamtej nocy, leżąc w łóżku, zastanawiałem się, czy coś się dzieje między nią a tym Jakiem. Co, jeśli ją wykorzystuje? Co, jeśli są razem?

Godzinami nie mogłem zasnąć. Więc stwierdziłem, że muszę zaryzykować.

To mogłoby być złe posunięcie. Może wiedzieć, jak wyglądam. Nie żeby pamiętała mnie z tamtej imprezy. Wiem, że wyglądam inaczej niż wtedy, gdy chodziłem na studia – moje włosy są dłuższe i rozwichrzone, a twarz jest wiecznie pokryta zarostem. Jestem szczuplejszy niż wcześniej, ale mam więcej mięśni.

Tak na wszelki wypadek, wziąłem czapkę z daszkiem i ubrałem luźną kurtkę, starając się nie przyciągać zbyt dużo uwagi z mojego kąta przed lustrem na ścianie, w którym widzę odbicie całej lady. Stąd doskonale słyszę ich rozmowę.

Muszę po prostu poobserwować ich razem przez dwie minuty i będę wiedział, czy ma coś do tego dupka, w którego wpatrywałem się przez ostatnie dwie godziny – skrzyżowanie Carrot Top i the Fonz¹⁶.

A jeśli tak?

Na tę myśl moją pierś zalewa fala rozczarowania.

I nagle Kacey tam jest, za ladą, ubrana w czarną koszulkę dla pracowników. Musiała przejść przez tylne wejście, bo nie ma mowy, żebym



¹⁶ Carrot Top:



the Fonz:

ją przegapił. Biorę głęboki oddech. Mam wrażenie, jakby minęła wieczność, od kiedy ostatni raz ją widziałem, ponad rok temu. I jak się wiele zmieniło w sferze mentalnej, w porównaniu do wtedy.

Ale co ważniejsze, jak jest z *nią*? Nie wiem, co jeszcze robiła, ale nie mogła już wypełniać nozdrzy kokainą ani żołądka alkoholem. Choć wcześniej wyglądała na wysportowaną, to teraz jest wręcz umięśniona, a jej ruchy przypominają mi leoparda – pełne wdzięku, elegancji i niebezpieczeństwa. Jej twarz się nie zmieniła, rysy nadal są twarde i nieustępliwe, uśmiechy ulotne i fałszywe, nigdy nie sięgające jej oczu. Te wodniste, niebieskie oczy, które wciąż nie odnalazły ponownie swojego blasku.

A czy kiedyś znajdą? Dlaczego nikt jej nie pomaga? Dlaczego nikt jej nie zmusza, by przyjęła jakąś pomoc?! Minęły ponad trzy lata.

Chociaż jej twarz się *zmieniła*. Wcześniej była ładną dziewczyną.

Teraz, w wieku dziewiętnastu lat, jest olśniewającą kobietą.

Tak bardzo, że ciężko mi oderwać od niej wzrok, gdy zaczyna obsługiwać klientów i nalewać kawę, zawsze uprzejma, ale nigdy przesadnie. Jest prawie tak, jakby nie była tutaj duchem. Jakby pracowała na autopilocie, tak naprawdę nie zauważając swojego otoczenia poza swoim celem, by tu być.

Podobnie jak ja zachowywałem się przez dłuższy czas.

A przynajmniej dopóki wychodzi zza lady i zaczyna wędrować między stolikami, zbierając zostawione naczynia i śmieci, a te szczupłe, choć umięśnione nogi w czarnych, dopasowanych spodenkach, sprawiają, że krew zaczyna się gotować w moim ciele.

Oraz panika.

Zwieszam głowę, gdy mnie mija, przechodząc za mną.

– Skończyłeś z tym? – Zbliżyła się i zbiera naczynia bez czekania na odpowiedź, moje nozdrza wypełnia zapach mydła i szamponu. Zgaduję, że właśnie wróciła z siłowni.

– Pewnie, dzięki – mamroczę do jej pleców, kiedy odchodzi. Nie wydaje się być zainteresowana złapaniem kontaktu wzrokowego. Albo jakiegokolwiek kontaktu. Z kimkolwiek. W tym momencie tak będzie najlepiej, ale chciałbym, żeby nasze spojrzenia choć raz się skrzyżowały, by poczuć na sobie jej wzrok. By wiedzieć to, co ona wie.

By wiedzieć, czy zdaje sobie sprawę z tego, co nas łączy; że byliśmy jedynymi osobami, którzy uszli z życiem z tamtej nocy i że utknęliśmy w wirze rozpacz, która przysłała później, nie zdolni do tego, by ruszyć naprzód. Znienawidziłaby mnie przez to? Czy pomogłaby jej wiedza, że nie jest sama? Już nie. Nie, kiedy ja tutaj jestem.

To są myśli, z których nie mogę się otrząsnąć. Ale świetna wiadomość jest taka, że przez większość czasu ignoruje Jake'a, co jakiś czas tylko robiąc coś wystarczającego, by utrzymać go szczęśliwego. Malutki uśmiech bez emocji, nieszczerzy chichot. Mądrze z jej strony, skoro jest jej menadżerem i w ogóle. Wydaje się chłonać jak gąbka każdy skrawek uwagi, którą mu poświęca.

A ona dalej *istnieje*.

Mogę stwierdzić, że wcale jej się nie poprawiło. Może i już nie pędzi w dół po spirali autodestrukcji. Może sięgnęła dna, tak, jak ja. Ale nie sądzę, żeby zaczęła już wspinać się z powrotem na górę.

A co, jeśli mógłbym jej pomóc postawić pierwsze kroki? Ktoś musi.

Naprawdę powinienem wyjść.

Za dwadzieścia minut.

Wrzesień 2011 r.

Przestaliśmy chodzić na mszę, kiedy miałem około dwanaście lat. Nie stała za tym żadna polityczna przyczyna; po prostu przestaliśmy. Nie sądzę, żebym był w kościele – pomijając pogrzeb Sashy – w ciągu jedenastu lat od tamtego czasu. A jednak gdy wchodzę do środka, uderza we mnie znajomy zapach, który natychmiast rozpoznaję. Dziwna kombinacja drewna, stęchlizny i kadzideł.

To prawie pasuje, że po raz drugi złamałem swoją zasadę, by trzymać się z daleka po to, by iść do kościoła w poszukiwaniu odpowiedzi. Przede wszystkim, dlaczego ciotka i wujek Kacey nie szukali dla niej pomocy?

Zajęło cztery wycieczki co Caledonii i ryzykowne sesje obserwacyjne, by dowiedzieć się, do której parafii uczęszcza jej ciotka Darla, na niedzielne poranne msze, a także poniedziałkowe modlitwy. To mały, stary kościół, zbudowany z brązowej cegły, z wysoką, wąską wieżyczką.

Darla siedzi w czwartej ławce od przodu w rzędzie po prawej stronie, jej krótkie, kręcone, czarne włosy są rozłożone na ramionach, a czoło opiera o złożone dłonie, gdy się modli. Powoli ruszam nawą, po czym zajmuję miejsce w ławce za nią, zachowując dobre trzy metry odległości. Biorąc pod uwagę to, że jest poniedziałek i jesteśmy tu sami, jestem w pełni świadomy, że to dziwny ruch z mojej strony. Ale mam nadzieję, że mam co do niej rację.

I okazuje się, że mam.

– Jak miło widzieć młodego człowieka w kościele, modlącego się – szepce do mnie z uśmiechem.

Odwzajemniam gest.

– Jesteś stąd?

– Odwiedzam znajomych. – Nienawidzę kłamstw, zwłaszcza z Jezusem wiszącym na krzyżu przede mną.

Kiwa głową, jakby się ze mną zgadzała.

– Znam tutaj prawie każdego parafianina. Tak myślałam, że cię tu wcześniej nie widziałam.

Po czym wraca do swojej modlitwy, a ja w ciszy staram się rozplanować, jak wydobyć z niej informacje. Po pół godzinie zdaję sobie sprawę, że kobieta albo odwała maraton modlitw, albo ma wiele zmartwień. Tak czy siak, zaczyna mnie boleć tyłek od siedzenia na twardym drewnie i poddaję się, zostawiając swój genialny plan. Ławka głośno trzeszczy, gdy wstaję i ruszam w stronę przejścia, a dźwięk odbija się pod przestronnego pomieszczenia.

– Zachowaj swoją wiarę. Tak ciężko ściągnąć tutaj młodych ludzi, a oni potrzebują tego najbardziej, bo dzisiejsze społeczeństwo jest przesycone narkotykami, seksem i przemocą.

Więc... ciotka Darla nie jest typem imprezowicza. Czy ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co robiła jej siostrzenica?

– Ma pani rację – zgadzam się z nią. – Pani dzieci przychodzą z panią?

– Och, nie mam dzieci. Ale moje siostrzenice ze mną mieszkają i jedna z nich zaczęła przychodzić na spowiedź w piątku po południu, po szkole. Gdybym tylko mogła teraz drugą tu ściągnąć...

- Nie jest zainteresowana religią? - *No dalej, Darla. Daj mi coś więcej.*

Jej spięty uśmiech mówi mi, że przygryza język.

- Kacey nie jest niczym zainteresowana - mamrocze, po czym dodaje już głośniej: - straciła rodziców w wypadku samochodowym.

Marszczę brwi, przybierając odpowiednią minę.

- To musiało być dla niej ciężkie.

- Cóż, Livie też straciła rodziców, a nie stała się poganinem - argumentuje. - Choć Livie nie była w tym samochodzie i nie czekała, aż ją z niego wyciągną.

Tym razem szczerze marszczę brwi.

Dostrzega moje zdziwienie.

- Godziny zajęło tym strażakom rozcięcie auta. Nie mam pojęcia, jak przez cały czas mogła być przytomna.

Na całe szczęście wciąż jestem w przejściu, bo moje kolana przestają mnie podtrzymywać i na wpół siadam, na wpół upadam na ławkę. Czuję, jak drgają mięśnie w mojej twarzy, gdy staram się kontrolować swoją minę i ukryć przerażenie. Kacey siedziała w samochodzie ze swoimi martwymi rodzicami. Sama myśl o zobaczeniu Sashy lub Dereka na chodniku wystarczy, żeby krew odpłynęła z mojej twarzy.

- To boska interwencja, ciągle jej to powtarzam - kontynuuje ciotka Darla. - Jak ktoś po takim czymś może nie wierzyć w Boga? Szczerze mówiąc, ona powinna umrzeć. Mówię jej to, a ona po prostu się złości. Jeszcze bardziej się złości... - Głośno odchrząka. - Ostatnimi czasy jest *tylko* wściekła. Zawsze była tą gwałtowną z nich dwóch, denerwowała się i w ogóle. Ale wcześniej była pogodna. A teraz...

Biorę głęboki oddech.

- Brzmi to tak, jakby potrzebowała pomocy.

- Próbowałam, ale odmawia. Nadal ma koszmary, każdej nocy. Jej krzyki są... - Wzdryga się. - Od ponad dwóch lat, od kiedy się wprowadziłam, ani razu się porządnie nie wyspałam.

Taa, biedna ty.

- Chodzi do terapeuty, albo na grupę wsparcia... albo gdziekolwiek?

Jedno potrząśnięcie głową potwierdza moje obawy. Kacey jest dokładnie taka, jaki ja byłem wcześniej.

- Wykracza poza wszelką pomoc. Zaprosiłam do naszego domu doradcę z kościoła oraz księdza, ale ją to nie interesowało. Nawet kupiłam dla niej Biblię i zostawiłam na szafce nocnej. Ani razu jej nie otworzyła. - Mlaska językiem. - Gdyby tylko moja siostra wychowała je w zgodzie z Bogiem, z Kacey byłoby już wszystko w porządku. Szczerze w to wierzę.

Nie jestem tego taki pewny. Jedną z pacjentek w programie doktora Staynera to była zakonnica, Margaret, której dwuletnia bratanica wymknęła się przez frontowe drzwi i wpadła pod samochód, gdy Margaret jej pilnowała. Po tym zdarzeniu odeszła od kościoła i religii. Wiara nawet najbardziej bogobojnej osoby może zostać zachwiana, kiedy dochodzi do tragedii. Może tylko na jakiś czas; może na zawsze.

- Cóż, miło się z panią rozmawiało. - Po części to prawda. Teraz dokładnie wiem, jak się ma Kacey, przynajmniej według jej cioci, która brzmi na cholernie nieczułą. Zgaduję, że nie chciała, żeby tak to zabrzmiało. Po prostu nie umie robić nic poza modlitwą.

Nie mogę się nie zastanawiać, czy gdyby Kacey miała w swoim życiu doktora Staynera, to byłoby z nią kompletnie inaczej?

Ciotka Darla ciepło się do mnie uśmiecha.

- Mam nadzieję, że znowu się zobaczymy i to wkrótce. Jest tutaj nowy, młody ksiądz. Dopiero co zaczął w tym tygodniu.

- Może wróćę.

Może w piątek.

A co, jeśli Livie wie, jak wyglądam?

Pewnie wie. To, że jej siostra żyje teraz w świecie, w którym nic – i nikt – nie ma znaczenia, nie znaczy, że z nią jest tak samo. wydaje się być *stabilna*. I zapewne ciekawa.

Przypominałem sobie o tym w drodze tutaj. Kiedy po raz drugi w tym tygodniu pokonuję tę samą drogę. A mimo to nie mogłem się powstrzymać, żeby nie przyjechać.

Zajmuję miejsce w ciemnym kącie kościoła, skryte przed większością ławek i konfesjonałów. Nie wiem, czego osiągnięcia się do cholery spodziewam, przychodząc tu, poza obserwowaniem jej z cienia. Kiedy zauważam jej długie, lśniące, czarne włosy, mój żołądek zaczyna się zaciska.

Jestem idiotą.

Jest z nią jej ciotka, zachęcając do tego, by poszła do konfesjonału, popychając ją lekko dłonią w plecy i szeroko się uśmiechając. Bardzo przypomina mi panią Wilcox, która mieszkała ulicę dalej niż my, gdy dorastaliśmy. Ta kobieta potrafiła wyrecytować każdy wers Biblii i z tego powodu uważała, że nie mogła zrobić ani powiedzieć nic złego.

Młody, nowy ksiądz wychodzi z konfesjonału, przepaszając, akurat w momencie, gdy Livie do niego wchodzi. Sądząc po sposobie, w jaki dziwnie idzie, pewnie musi iść do łazienki. Wraca kilka minut później, idąc bardziej energicznie. Tyle że jakaś kobieta wchodzi bocznymi drzwiami i gorączkowo go woła.

– To nie może poczekać? – Słyszę, jak pyta.

Odpowiada mu pokręcenie głową.

– To zajmie tylko pięć minut. Góra dziesięć.

Rzucając przemęczone spojrzenie na swój konfesjonał, znika za drzwiami.

Chciałem tylko przez chwilę poobserwować Livie. Ale co, jeśli mógłbym zyskać więcej niż to? Co, jeśli...

Darla ma nisko spuszczoną głowę i się modli.

Teraz albo nigdy.

Jeśli wcześniej moje pójście do piekła nie było gwarantowane, to teraz jest już pewne. Ale nie pozwalam, żeby odstraszyło mnie to od wślizgnięcia się do pustego konfesjonału, zostawiając leciutko uchylone drzwi, by z uwagą obserwować miejsce, w którym zniknął ksiądz.

I co mam teraz, do cholery, zrobić? Tak długo, jak nie byłem na mszy... to pewnie też tyle samo czasu nie byłem u spowiedzi. To ksiądz się pierwszy odzywa? Czy spowiadający się? *Cholera!*

Na szczęście Livie się tym zajmuje.

– Wybacz mi Ojcze, bo zgrzeszyłam. Ostatni raz u spowiedzi byłam tydzień temu. – Jej głos jest w takim przejściowym stanie, kiedy nie brzmi już jak mała dziewczynka, ale nie jest jeszcze dorosłą kobietą.

- Kontynuuj. - To wszystko, co mogę wymyślić i zaciskam usta, czekając, aż krzyknie „oszust!”. Albo to, albo drzwi się zaraz otworzą i będę musiał stąd zwiewać.

- No dobra, już skłamałam. Bardzo przepraszam. Nie jestem tutaj dla siebie. Wiem, że nie powinno się chodzić do spowiedzi za inną osobę, ale Ojciec Murray i ja mieliśmy pewną umowę - wypowiada wszystko bardzo szybko. - Jestem tutaj dla mojej siostry. Przyda jej się każda pomoc.

Mój oddech zamiera.

- Kontynuuj.

Wzdycha ciężko.

- Dziękuję, ojcie. Więc nazywa się Kacey. A ja jestem Livie. W każdym razie, w zeszły weekend groziła, że podpali Biblię, którą ciocia ciągle zostawia na jej nocnej szafce.

Walczę z tym, żeby stłumić swój śmiech. Tak naprawdę to nie jest śmieszne, ale mimo to wiedza, że gdzieś w Kacey została jakaś iskra, daje mi nadzieję.

Livie wydaje się tego nie zauważyć.

- I mówi różne rzeczy o naszym wujku. Złe rzeczy.

- Jakiego rodzaju złe?

- Że on... - urywa. - Że zaczyna na mnie patrzeć w *ten* sposób.

- Jaki? - praktycznie warczę, po czym orientuję się, jakiego tonu użyłem. - To znaczy, ty też to widzisz?

- Nie! Zawsze jest dla mnie miły. Choć w sumie zawsze jest pijany.

Ha. Więc święta ciotka Darla nie ma tak świętego męża.

- A twoja siostra? Pije? Albo robi sobie krzywdę w jakikolwiek inny sposób? - Wiem, że to ryzykowne pytanie, ale muszę wiedzieć.

- Nie, od ponad roku już nie.

Naprawdę?

- Co sprawiło, że przestała?

- Ja. Chyba. To znaczy, starałam się, żeby to wszystko do mnie nie docierało. Być dla niej silna. Ale jednej nocy, kiedy siedziałam z nią do późna, jak zawsze...

- Siedzisz z nią?

- Cóż, no tak. Siedziałam. *Musiałam*. I w tę jedną noc zaczęła wymiotować we śnie i potem się krztusić. Gdyby mnie tam nie było...

Livie straciłaby siostrę.

Ja straciłbym Kacey.

Potrząsam głową, zdumiony tym, jak silna i mądra wydaje się być ta dziewczyna.

- A teraz?

- Teraz obchodzi ją tylko kickboxing.

To wyjaśnia jej ciało twarde jak gład. Ciało, o którym nie powinienem teraz myśleć, gdy udaję, że jestem księdzem i wyciągam informacje z jej siostry.

Zdecydowanie pójdę prosto do piekła.

Słowa Livie przerywają moje prywatne, nieprzyzwoite myśli.

- To i zarobienie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby się wyprowadzić.

Wszystkie myśli o ciele Kacey znikają.

– Gdzie twoja siostra chce się wyprowadzić?

– Och, kto to wie? I jest to mało prawdopodobne. Ja dopiero co zaczęłam liceum, a wujek zabrał nasz spadek, więc nie jest tak, że same możemy się utrzymać.

Dwa punkty dla wuja Raymonda.

Waham się, zanim pytam:

– Co się stało z waszymi rodzicami?... Moje dziecko. – Kurde, to brzmiało dziwnie.

Odpowiada cichszym tonem, w którym rozbrzmiewa smutek.

– Zginęli w wypadku samochodowym, teraz już trochę ponad trzy lata temu. Zderzyli się z kilkoma chłopakami, wracającymi do domu z imprezy. Prowadził ktoś pijany.

– Przykro mi to słyszeć. – Przełykam ślinę, bojąc się zadać to pytanie, ale wiem, że prawdopodobnie nie dostanę drugiej takiej szansy. – Czy ty i twoja siostra myślałyście kiedyś o tym, żeby z nimi porozmawiać?

– Cóż, nie możemy. Zginęli. A przynajmniej dwóch z nich. Jeden przeżył. Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Może zobaczenie go, rozmawianie z nim dałoby twojej siostrze swego rodzaju zamknięcie?

– Kacey? – parska pod nosem Livie. – Nie, nie sądzę, żeby jej to pomogło. Kacey nie chce mieć nic wspólnego z czymkolwiek, co przypomina jej o wypadku. Szczerze mówiąc, nie sądzę, czy w ogóle obchodzi ją to, czy żyje czy nie.

Mógłbym cały dzień tu siedzieć i rozmawiać z Livie, ale zaczynam się denerwować, co chwilę zerkam w kierunku szpary przy drzwiach. W każdej chwili może pojawić się ksiądz. Nie może mnie tu być, gdy wróci.

– Wygląda na to, że jesteś bardzo dobrą siostrą. Kacey ma szczęście, że cię ma.

Milknie na dłuższą chwilę, po czym szepce:

– Chcę tylko, żeby jej się polepszyło.

Ja też.

– Zmów dziesięć razy Zdrowaś Maryjo dla twojej siostry Kacey. – I ja też to zrobię, choć wiem, że potrzebuje czegoś więcej niż to.

– Dziękuję, Ojcze.

– Nie. To *ja* dziękuję, Livie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Styczeń 2012 r.

Z tego, co widzę, O'Malley nie jest siłownią dla przeciętnej osoby. A przynajmniej tyle pisze na stronie. Jest to miejsce dla uprawiania sportów o wysokiej wytrzymałości, takich jak boks czy sporty MMA. I lekcje kickboxingu, które bierze Kacey. Prowadzone przez tego durnia, jak przypuszczam, patrząc na zdjęcie spoconego, pomarszczonego faceta ubranego tylko w spodenki i pokrytego tatuażami – zakładam, że to on – uderzającego swojego przeciwnika łokciem w twarz.

Do: Kacey Cleary

Od: Jeff. T

Re: Uderzenie z mojej walki w zeszłym tygodniu

Zostań dłużej, a nauczę Cię, jak to zrobić. Tylko Ty i ja.

Tylko Ty i ja.

– Pieprzony dupek – mamroczę. Jaki trener wysyła własne zdjęcia do swoich uczniów? Do *uczennicy*. Pięknej, rudowłosej dziewczyny o imieniu Kacey. Byłem dobry i trzymałem się z daleka od niej i jej rodziny od czasu

akcji z konfesjonałem. Aż do przeczytania tego e-maila. Nie było ciężko domyślić się, gdzie chodzi. To jedyna siłownia tego rodzaju w mieście.

Woń potu i środków czyszczących uderza w moje nozdrza, gdy wchodzę do środka.

– Zamykamy za piętnaście minut – mówi do mnie młody punk siedzący za biurkiem, napinając dumnie bicepsy w koszulce bez rękawków i mierząc mnie wzrokiem. Mam na sobie bluzę i kaptur naciągnięty na głowę. Co jest całkowicie normalne biorąc pod uwagę pogodę na zewnątrz.

Tłumię głupi uśmieszek. Jestem dwa razy większy od niego.

– Właściwie chciałem się tutaj tylko rozejrzeć. Myślisz, że mógłbyś mnie szybko oprowadzić?

Wzrusza ramionami i wstaje, przesuwając palcami po ciężkim, złotym łańcuchu na jego szyi, gdy okrąża ladę, ruszając dumnym krokiem, który pewnie na co dzień ćwiczy przed lustrem. Jego spodnie wiszą gdzieś na połowie uda, podtrzymywane przez pasek.

Sash i ja nabijaliśmy się kiedyś z takich idiotów.

– Skąd jesteś?

– Detroit. W jakich godzinach jest otwarte?

Zaczyna wyrzucać z siebie informacje, przeprowadzając mnie przez główne pomieszczenie z ringiem oraz workami treningowymi. Zaczynam myśleć, że jej tu nie ma, dopóki nie mijamy jednych drzwi.

Przechodzi obok nich.

– W tej chwili odbywają się tutaj zajęcia...

- Świetnie. - Popycham je i wtykam głowę do środka. Trzy pary facetów stają do walki naprzeciw siebie, ćwicząc ataki. A w kącie rudowłosa dziewczyna gwałtownie uderza w worek.

Jezu.

Słyszę, że facet do mnie gada, ale go ignoruję, a cała moja uwaga skupia się na Kacey i na tym, jak w kółko i w kółko wymierza ciosy jak maszyna, której nie da się zatrzymać, pot prześwituje jej obcisłe spodenki i bluzkę, a pod nimi napinają się mięśnie. A potem wygląda na to, że stwierdziła, że koszulka jej przeszkadza, bo zatrzymuje się na wystarczająco długo, by ją z siebie zerwać i rzucić na ziemię, przez co zostaje tylko w spodenkach i sportowym staniku.

Tym samym dając siedmiu parom oczu zajebiste ciało, w które mogą się wpatrywać. I to robią.

Facet ze zdjęcia trzyma jej worek i obserwuje ją z szerokim uśmiechem na twarzy. Jakby był z niej dumny. Jakby nie czuł tej całej wściekłości, cierpienia i bólu, które spływają z niej falami, a które ja odczuwam aż tutaj.

- Świetna robota, Kacey! - Puszczą worek, zmuszając ją do tego, by się zatrzymała, a jej klatka piersiowa wznosi się i opada, jakby próbowała złapać oddech.

- Ej - woła do mnie ten idiota z za lady, wystarczająco głośno, by przyciągnąć do siebie uwagę.

Odwracam się w tej samej chwili, gdy Kacey obraca się w moją stronę.
Było blisko.

- Dzięki. Później w tym tygodniu wpadnę podpisać papiery - kłamię, stawiając długie i szybkie kroki, dopóki nie wychodzę z siłowni i nie wracam do bezpiecznego wnętrza mojego auta, z mocno walącym sercem.

I czekam. Śnieg pada na mój samochód ze wszystkich stron, a ja czekam prawie godzinę, długo po tym, jak wszyscy wyszli z siłowni i światła zostały zgaszone, dopóki poziom mojego paliwa niebezpiecznie zbliża się do zera, a moje auto jest jednym z dwóch, które zostały na parkingu.

Moje wzburzenie rośnie z każdym oddechem.

Kiedy drzwi w końcu się otwierają, wychodzą Kacey i jej „trener”, oboje z głowami schowanymi pod kapturami i schylonymi, chroniąc się przed śniegiem. Zarzuca jej rękę na ramiona i mój żołądek się zaciska. Ale ona natychmiast ją strząsa.

Uchylam lekko okno, żeby posłuchać, pozwalając mroźnemu powietrzu wlecieć do nagrzanego wnętrza.

- Dlaczego nie?

- Bo nie jestem zainteresowana. I jeśli nie przestaniesz do mnie uderzać, to rzucę te twoje głupie zajęcia.

Z cichym śmiechem odpowiada:

- Nie, nie rzucisz. Kochasz je.

- Nie, *lubię* je. Ale już ich nie potrzebuję. Mogłabym zaoszczędzić trochę forsy. Właściwie uznaj to za moje wypowiedzenie.

Uśmiech pojawia się na mojej twarzy, zanim mogę go powstrzymać. Nie podoba jej się. To uszczęśliwia mnie bardziej, niż powinno.

- Hej! Spokojnie! - Unosi dłonie w geście poddania, a ona zaczyna maszerować w kierunku czarnego pickupa stojącego obok mnie. Ale przechodzi obok niego.

- Gdzie idziesz? – woła za nią Jeff.

- Do domu.

Odrzuca głowę do tyłu, jakby był nią wykończony. Nie wątpię, że Kacey codziennie testuje cierpliwość innych ludzi.

- Nie bądź głupia. Chodź, podrzucę cię.

- Nie potrzebuję podwózki.

Kurwa. Oszalała? Jesteśmy po środku niczego, w nocy, w zamieci śnieżnej, a jej dom jest przynajmniej dwa kilometry stąd.

- Zamarzniesz, Kacey!

- Nie, nie zamarznię. Po prostu nie jadę z tobą.

Nagle się odwraca. I rusza w kierunku drzwi od strony pasażera w moim samochodzie. I je otwiera.

Jasna cholera.

Odchylam głowę w głąb kaptura tak niepostrzeżenie jak tylko się da, dziękując Bogu, że go nie ściągnąłem.

Sęk w tym, że nawet się nie odwraca, żeby na mnie spojrzeć. Jakby nawet nie obchodziło ją to, do czyjego auta weszła.

- Mógłbyś podrzucić mnie na róg Główniej i Kościelnej?

- Um, pewnie – mamroczę, obniżając trochę ton głosu na wypadek, gdyby jakimś cudem go rozpoznała. Żałosna przykrywka. Wyjeżdżam z parkingu, a koła ślizgają się po nawierzchni, gdy jedziemy po wymarłych ulicach w ciszy. Jej palce, te, które trzymałem przez prawie godzinę tej nocy tak dawno temu, bębnią w jej udo. Założę się, że jakiegokolwiek zdenerwowanie, jakie w tej chwili odczuwa, nie ma nic wspólnego z tym, że jest w samochodzie z nieznanym, ale z tym, że w ogóle jest w aucie.

Zastanawiam się, czy widzi, że za chwilę się chyba posram ze strachu. Jak, do cholery, ciągle się wplątuje w takie sytuacje? Ach, no tak... to dlatego, że praktycznie ją śledzę.

– Możesz skrócić tu w prawo i będzie w porządku.

Wiem, że w chwili, gdy się zatrzymam, wyskoczy z auta. Więc nie tracę czasu i pytam:

– Zawsze wchodzisz do samochodów kompletnie obcych ludzi?

Nie waha się, odbijając piłeczkę.

– Zawsze wozisz dookoła obce osoby, gdy wchodzi do twojego samochodu?

Ma rację, chyba. Ale i tak...

– Mógłbym być mordercą.

– Cóż, to albo się się pośpiesz, albo tutaj zjedź, bo muszę jutro wczesnie wstać i iść do pracy – mówi ze śmiertelną powagą, bez cienia poczucia humoru. Bez cienia strachu.

Kacey wyraźnie się już niczego nie boi, a to jest przerażające. Każda osoba potrzebuje zdrowej dawki strachu, czegoś, co sprawi, że ich krew będzie wrzeć. Czegoś, czego stracenia nie mogą znieść.

Opony piszczą, gdy się zatrzymuję. I tak jak się spodziewałem, Kacey znika, ledwie mówiąc „dzięki”, samotna figura znika w śniegu i ciemności.

Rozgrzanie się pod prysznicem w motelu przy drodze zajmuje mi dwadzieścia minut. Nadal nie mogę otrząsnąć się z dziwnego

podeksycytowania krążącego w moich żyłach. Tego, które zostawiła Kacey. Nie mogę tego do końca wyjaśnić. Jest taka mroczna, surowa, zraniona. Jej kąśliwe zachowanie większość osób by odstraszyła.

A mimo to wszystko, czego chcę, to się do niej zbliżyć. Przebić się przez ten mur, który wokół siebie zbudowała i poczuć ciepło, które kiedyś w niej było. Które jest ukryte za ciętym językiem i silnym ciałem.

To ciało...

Czuję, jak krew zaczyna pędzić w dół mojego ciała, gdy przed oczami staje mi jej widok w tych opiętych spodenkach i tyłek taki, który wydaje się być nieprawdopodobny, taki okrągły i umięśniony. Niesamowicie byłoby go poczuć w dłoniach. Tak, jak resztę jej ciała.

Kurwa.

Nie ma sensu okłamywać samego siebie – dokuczliwy wzwód, który teraz ściskam dłonią, jest niemożliwy do zignorowania.

Pociąga mnie Kacey. I to bardzo.

- Kurwa. – Opieram się czołem o płytki. Jedna rzecz, kiedy tylko się o nią troszczyłem. Chociaż kogo ja, do cholery, oszukuję? Jak dawno temu się od niej uzależniłem? Wizyty w Starbucksie, dzisiejsza podróż... Kiedy to się stało czymś więcej niż tylko obserwowaniem jej z daleka, zadośćuczynieniem?

Potrzebuję trochę przestrzeni. Koniec z odwiedzinami. Koniec z telefonami.

Ale co, jeśli...

Co, jeśli mogłaby się nauczyć, jak znowu kochać? I co, jeśli *ja* jestem tym, który może jej przypomnieć, jak to jest?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

26 kwietnia 2012r.

Jak to pasuje, że akurat dziś jest pierwszy ciepły dzień wiosny. To naprawdę idealnie się składa, biorąc pod uwagę, że siedzę na tej ławce od sześciu godzin.

I czekam.

Byłem tutaj rano o ósmej, by powitać konserwatora zieleni, gdy otwierał bramy cmentarza. Z kwiatami w jednej ręce i wskazówkami co do drogi do nagrobków w drugiej, szedłem przez mały, katolicki cmentarz. Bardzo łatwo było znaleźć miejsce, gdzie pochowani są Cleary'owie. Informacja ta była podana w cienkim żółtym folderze, który teraz tata trzyma w szafce w swoim domowym biurze, razem z numerkiem i paragonami z lokalnej kwiaciarni, która dostarczy je prosto na nagrobki. Moi rodzice, troskliwi jak zawsze, wysyłali kwiaty na pierwszą, drugą i trzecią rocznicę wypadku. Biorąc pod uwagę samochód z kwiaciarni, który parkuje właśnie niedaleko cmentarza i bukiet kwiatów, który facet ma w ręce, założę się, że planują to robić co roku, do końca ich życia.

Zastanawiam się, czy Kacey wie, od kogo są.

Jeśli w ogóle przyjdzie.

Nie mogę uwierzyć, że mogłaby tego nie zrobić. Ale z drugiej strony, mnie dziś nie ma w Rochester, bym mógł odwiedzić grób Sashy.

Ale to byli jej rodzice.

Nie widziałem Kacey od tamtej nocy w styczniu, zajmowałem się swoim nowym mieszkaniem oraz pracą. Choć nie ma dnia, w którym bym o niej nie myślał lub nie sprawdzał jej e-maila.

Dwa razy do niej zadzwoniłem, tylko po to, żeby usłyszeć jej głos.

Ale dzisiaj musiałem wrócić. Wiele można dowiedzieć się o jakieś osobie z takich dotkliwych momentów jak rocznica śmierci, przy grobie kogoś, kogo ta osoba kochała – rzeczy, których zdecydowanie nie zobaczysz, przeglądając czyjąś pocztę lub szpiegując w kafejkach.

Więc siedzę na tej ławce, obserwując zza moich przeciwsłonecznych okularów ludzi, którzy przechodzą przez bramy cmentarza, by zostawić kwiaty i słowa tęsknoty za ich ukochanymi. Słońce bawi się w chowanego za chmurami, a ja pochłaniam ciepło z jego promieni w sposób, na jaki długo sobie nie pozwalałem.

I na nią czekam.

A gdybym choć przez sekundę pomyślał, że może mnie rozpoznać, to by mnie tutaj nie było. Ale te wszystkie momenty, kiedy na mnie patrzyła... tak naprawdę mnie nie widziała, nigdy się nie przyjrzała. Nigdy nie złapaliśmy kontaktu wzrokowego.

W końcu pod cmentarz podjeżdża granatowa Toyota Camry, którą rozpoznaję jako auto ciotki Darly. Zsuwając się z ławki, stawiam sześć szybkich kroków i klękam przed przypadkowym nagrobkiem, w duchu przeprasząc Jorge Mastracci za użycie jego miejsca spoczynku jako przykrywki.

Auto ledwie zdąży zaparkować, a Kacey już z niego wychodzi. Nie mogę dostrzec za bardzo jej twarzy. Górna połowa jest zasłonią przed okularami, rysy dolnej są niezmiennie nieugięte.

Stoi nieruchomo jak statua, kiedy jej siostra i ciotka zbliżają się do podwójnego nagrobka, Livie trzyma olbrzymi bukiet fioletowych kwiatów, jej ciotka ma różaniec w ręce, a obie mają ponure miny. Nawet z daleka mogę dostrzec, jak gardło Kacey się porusza, gdy przełyka ślinę kilka razy. Jak walczy przeciw swoim emocjom. Wiem, że nie poddaje się bez walki. Jest silna. Ale po czterech latach musi znaleźć jakiś sposób na to, żeby odpuścić.

Jak długo jeszcze może tak pociągnąć?

– Jaja sobie robicie? – Kacey nagle się pochyla. Dopiero kiedy wstaje z bukietem kwiatów i odrzuca je na bok, jej usta zaciśnięte w linię z gniewu, wtedy wiem.

– Kacey! – krzyczy jej ciotka, szeroko otwierając usta. Livie nic nie mówi, po prostu podnosi kwiaty i poprawia pogieęte gałązki. Wykonuje ruch, żeby położyć je z powrotem.

– Nie waż się, Livie. – Chłód w głosie Kacey, gdy ostrzega siostrę sprawia, że dreszcz przechodzi po moim kręgosłupie.

– To miły gest – spiera się Livie cichym, spokojnym tonem. Trochę za dojrzałym jak na piętnastolatkę.

Wyszarpując bukiet z jej dłoni, Kacey idzie w inną stronę.

Zwieszam głowę, moje serce przyśpiesza z każdym jej gniewnym krokiem, który stawia na trawie.

Zmierzając w moją stronę.

Kurwa. Nie znowu.

– Proszę. – Kwiaty lądują przede mną. – Jestem pewna, że przydadzą się Jorge. – Bez czekania na moją odpowiedź, obraca się na pięcie i odchodzi. A ja wypuszczam powietrze z płuc, które wstrzymywałem.

Dla potwierdzenia sprawdzam małą karteczkę doczepioną do bukietu.

Zawsze o Was myślimy.

Rodzina Reynoldsów

Nie może nawet znieść tak prostego gestu jak przyjęcie od nas kwiatów.

Zostają przez kolejne pół godziny, Livie i Darla mówią do nagrobków, podczas gdy Kacey wpatruje się w przestrzeń. Przez cały czas trzymam zwieszoną głowę, nie chcąc przyciągnąć jej uwagi. Dopiero gdy wsiadają do auta i odjeżdżają, wstaję i odkładam kwiaty od moich rodziców z powrotem między dwa nagrobki.

Zdecydowanie dziś się czegoś tu dowiedziałem. Słowo „przebaczenie” nie istnieje w słowniku Kacey.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sierpień 2012 r.

Miami?

Przecieram porządnie oczy, zanim znowu spoglądam na ekran laptopa.

– Jak długo spałem? – mamroczę, sprawdzając, o której godzinie przyszły wiadomości. Zaczęły się wczoraj, o dwudziestej drugiej. Łącznie cztery e-maile między Kacey i facetem zwanym Harry Tanner, menadżer budynku z mieszkaniami w Miami na Florydzie.

Gdzie, najwyraźniej, Kacey i Livie się przeprowadzają.

W następnym tygodniu.

– Kurwa! – Miami jest o wiele dalej niż Caledonia w Michigan. – Dlaczego? – Z wiadomości nie można za dużo się dowiedzieć. Kacey odpowiedziała na ogłoszenie ze strony w internecie, pytając o mieszkanie z dwoma sypialniami. Kiedy Tanner poprosił o referencje, ona napisała, że zapłaci mu za sześć miesięcy z góry, gotówką. Jego kolejna wiadomość miała słowo „Sprzedane!” w temacie.

I teraz przeprowadzają się do Miami.

Co się, do cholery, stało? Nie ma mowy, żeby jej ciotka i wujek się na to zgodzili. Livie ma ile, piętnaście lat? Właśnie zaczyna drugą klasę liceum?

Coś musiało się zdarzyć.

Opadam na krzesło z ciężkim westchnieniem, rozglądając się po mieszkaniu z dwoma sypialniami, które kupiłem niecały rok temu. Ściany nadal są białe i nie wisi na nich żadne zdjęcie. Dopiero co kupiłem kanapę w zeszłym tygodniu. Wcześniej oglądałem telewizję w fotelu. To tylko miejsce, w którym śpię, nic więcej. Nigdy nie czułem się tutaj jak w domu. A teraz mam wrażenie, że to moja pułapka.

Właściwie jak daleko stąd jest Miami? Szybko sprawdzam to w Google. Dwadzieścia dwie godziny podróży. Żołądek opada mi do stóp. Właściwie rozważałem wynajęcie tego mieszkania i znalezienie sobie czegoś w pobliżu Lansing. Żebym mógł być bliżej Kacey. Potem zdałem sobie sprawę, jakie to przyprawiające o gęsią skórkę.

A teraz przenosi się do Miami. Ale po co?

Może żeby zacząć od początku...

Żeby odpuścić przeszłość.

To mogłoby oznaczać mnóstwo rzeczy – dobrych rzeczy. Jak to, że może byłaby gotowa poznać jakiegoś faceta. I pozwolić sobie się zakochać.

Rozkładając kartkę papieru, którą noszę w kieszeni już od ponad dwóch lat, odczytuję te słowa po raz tysięczny i zdaję sobie sprawę, że nie chcę, by poznała jakiegoś innego kolesia. Żeby zakochała się w kimś innym.

Chcę, żeby poznała *mnie*. Trenta Emersona. Faceta, który chce poczuć ciepło, o którym wiem, że w niej istnieje. Faceta, który jest do niej już na zawsze przywiązany, czy tego chce, czy nie. Ten, który musi jakoś poprawić to, co tak spieprzyłem.

Zanim mogę przemyśleć to, co robię, kopiuję adres mailowy Tannera do mojej własnej poczty i wysyłam wiadomość, pytając o mieszkanie.

Do czasu, gdy wychodzę spod prysznic, mam już odpowiedź. Jednopokojowe mieszkanie jest dostępne od następnego tygodnia, jeśli mam referencje.

Nie mam. Ale mam pieniądze. Jest coś w sposobie, w jaki żyłem przez ostatnie cztery lata. Poza tym mieszkaniem i Harleyem, którego kupiłem trzy miesiące temu po zdobyciu prawa jazdy na motor, nic nie wydawałem. Mam pełno kasy na koncie.

Wystarczająco, by zapłacić czynsz za sześć miesięcy z góry.

W ciągu następnych dwudziestu minut, zapewniłem sobie mieszkanie w tym samym budynku co Kacey Cleary. W głowie mi wiruje. Bałem się, że ten Tanner może zacząć coś podejrzewać, bo kolejna osoba proponuje gotówkę zamiast referencji i to na ten sam okres czasu. Ale jeśli tak, to nie pozwala temu przeszkodzić sobie w interesach.

To naprawdę się dzieje? Chyba tak. I decyduję, że już nie będzie mnie ignorować. Zmuszę ją do tego, by mnie zobaczyła. Ale nie mogę niczego przyspieszać; muszę to zrobić dobrze. Dostanę tylko jedną szansę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ledwie mogę cokolwiek usłyszeć przez krew szumiącą w moich uszach, gdy obserwuję, jak mój nowy właściciel człapie przez wspólne pomieszczenie razem z Kacey i Livvie idącymi za nim i ciągnącymi za sobą walizki. To nie wiele więcej niż to, z czym ja przyjechałem, biorąc pod uwagę, że jechałem motorem, stwierdzając, że po prostu kupię to, co potrzebuję.

Przez kilka dni bałem się, że wręczyłem Tannerowi wartość sześciomiesięcznego czynszu na nic. Że Kacey zmieni zdanie. Nie było nic, co powstrzymałoby ją przed wycofaniem się z tego. Może jednak nie zapłaciła mu z góry.

Ale teraz już mogę normalnie oddychać, bo tutaj jest.

Przez zwiewne i cienkie zasłony widzę, jak Tanner wskazuje kciukiem w stronę mojego mieszkania i instynktownie robię krok w tył. Zrobiłbym wszystko, żeby usłyszeć tę rozmowę. Zwłaszcza jeśli jest podobna do mojej przemowy i tekstu „zero orgii”, który usłyszałem, zanim dał mi klucze.

W ciągu kilku minut znikają w mieszkaniu obok mojego.

Więc czekam.

Tanner wychodzi kilka minut później, z grubą kopertą w ręce.

I... co teraz? Zamierzają posiedzieć na podwórku? Mam po prostu podejść i usiąść obok? Nie, to nie zadziała.

Po dwudziestu minutach krążenia siadam przy biurku, które strategicznie przeciągnąłem pod okno, żebym mógł spróbować wziąć się do

pracy. Jak wszyscy są przekonani, jestem w Rochester, pracując w moim domowym biurze. Na szczęście moja mama nie urządza niezapowiedzianych wizyt. Odwiedziłem ją dzień przed tym, zanim wyjechałem i wyjątkowo mocno ją uściskałem, tak mocno, że widziałem zmartwienie w jej oczach. Nie mogę zapomnieć, żeby do niej codziennie napisać.

Nie sędzę, żeby kiedykolwiek przestała się o mnie martwić. Nie w sposób, w jaki matka martwi się o swoje dziecko. W sposób, w jaki matka martwi się o syna, który powinien był umrzeć. Dwukrotnie.

Ale nigdzie się teraz nie wybieram, nie, kiedy jestem pewny, że mogę pomóc Kacey. Po prostu potrzebuję szansy.

I dostaję tę szansę. Kilka godzin później, po tym, jak wyszły i wróciły z zakupów kilkoma reklamówkami, trzaskają drzwi i dostrzegam czerwone włosy, a w jej rękach kosz z pościelą do prania.

Rzucam się po swoje własne pościele, zwijając je w kulę, a drugą ręką chwytając za proszek do prania. I ruszam w stronę schodów, które prowadzą do pralni. Po drugiej stronie słychać, jak ktoś zamyka drzwiczki od pralki, a moje serce zaczyna pędzić. Naprawdę jestem na to gotowy?

Prawie słyszę, jak kartka w tylnej kieszeni moich spodni mi odpowiada, dodając mi odwagi. Odwagi, której będę potrzebował jeśli chcę sprawić, by znowu się zaczęła uśmiechać. Bo tylko tego chcę.

Żeby znów się uśmiechała.

Biorąc głęboki oddech, otwieram drzwi.

KONIEC

A o tym, co się stało po tym, jak Trent otworzył te drzwi,
możecie przeczytać w *Dziesięciu Płytkich Oddechach*.